

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA
BEZGŁOWEGO KONIA**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: ANNA IWAŃSKA)

Wstęp Alfreda Hitchcocka

Oto kolejna emocjonująca przygoda Trzech Detektywów, chłopców, którzy mają dar wpadania w tarapaty.

Tym razem zmagają się z tajemnicą, sięgającą czasów wojny meksykańskiej! Z tajemnicą tą związany jest bezgłowy koń, wysadzany klejnotami legendarny miecz i trzech dawno zapomnianych oszustów, których kręte ślady chłopcy muszą tropić po przeszło stu trzydziestu latach. Na domiar wszystkiego, nasi młodzi przyjaciele odkryją, że zakurzone dokumenty historyczne nie zawsze mówią prawdę.

Jeśli nigdy przedtem nie spotkaliście Jupitera Jonesa, Pete'a Crenshawa i Boba Andrewsa, pozwólcie że przedstawię ich Wam pokrótce. Trzem Detektywom przewodzi Jupiter, którego siła dedukcji ustępuje jedynie jego wadze. Drugim Detektywem jest Pete, muskularny chłopiec z poczuciem humoru i alergią na szalone plany Jupitera. Mimo obaw, Pete zawsze znajduje się tam, gdzie potrzebują go przyjaciele. Bob jest sekretarzem zespołu. Prowadzi skrupulatną dokumentację wszystkich spraw i poszukuje niezbędnych informacji w bibliotece, gdzie pracuje dorywczo.

Wszyscy trzej mieszkają w Rocky Beach, kalifornijskim mieście na wybrzeżu Pacyfiku, w pobliżu Hollywoodu. Ich Kwaterą Główną jest stara przyczepa kempingowa, którą zrecznie ukryli wśród stert rupieci w składzie złomu Jonesa. To niewiarygodne składowisko starzyzny należy do Tytusa i Matyldy Jonesów, wujostwa Jupitera.

Dość wstępu. Przejdźcie do rozdziału pierwszego, by towarzyszyć Trzem Detektywom w tajemniczych i niebezpiecznych przygodach - jeśli tylko starczy Wam odwagi!

Rozdział 1

Przykre spotkanie

- Hej, Jupe! Diego Alvaro chce z tobą pogadać - zawołał Pete Crenshaw, wychodząc frontową bramą z gmachu szkoły w Rocky Beach. Lekcje właśnie się skończyły i przyjaciele Pete'a, Jupiter Jones i Bob Andrews czekali na niego na dworze.

- Nie wiedziałem, że znasz Alvara - powiedział Bob do Jupitera.

- Znam tak sobie. Jesteśmy razem w kalifornijskim klubie historycznym, ale Diego zawsze się trzyma na dystans. Czego on chce, Pete?

- Nie wiem. Spytał mnie tylko, czy możesz się z nim spotkać po lekcjach przy bramie boiska. Jeśli masz czas. Zachowywał się, jakby to było coś ważnego.

- Może potrzebuje usług Trzech Detektywów - powiedział Jupiter z nadzieją. Zespół detektywistyczny, składający się z Jupitera, Pete'a i Boba, od dość dawna nie pracował nad żadną sprawą.

Pete wzruszył ramionami.

- Może. Ale chce się zobaczyć tylko z tobą.

- Pójdziemy na spotkanie wszyscy razem - zdecydował Jupe.

Pete i Bob przytaknęli i podążyli za swym pulchnym przyjacielem. Przywykli do robienia tego, co chciał Jupiter. Jako głowa zespołu, Jupe podejmował większość decyzji. Czasami dwaj pozostali chłopcy przeciwstawiali mu się. Pete miewał zastrzeżenia do zwyczaju Jupe'a pakowania się śmiało w niebezpieczeństwo, gdy pracowali nad jakąś tajemniczą sprawą. Bob, drobny i rozmiłowany w nauce, podziwiał żywą inteligencję Jupe'a, ale od czasu do czasu oburzała go arbitralność przyjaciela. Niemniej jednak, z Jupiterem życie nigdy nie było nudne. Miał niesamowitą umiejętność wywęszenia tajemnicy i znajdowania podniecających przygód. Wszyscy trzej byli więc niemal zawsze najlepszymi przyjaciółmi.

Jupiter wiódł ich teraz wokół narożnika szkoły, w cichą ulicę, pośrodku której biegł trawnik. W dole ulicy, za domami rozciągało się lekkoatletyczne boisko szkolne. Chłopcy kulili się w swych wiatrówkach, W to czwartkowe listopadowe popołudnie wprawdzie świeciło słońce, ale dał chłodny, dokuczliwy wiatr.

- Nie widzę Diega - powiedział Bob, patrząc uważnie przez swe okulary, gdy zbliżali się do bramy.

- Za to jest ktoś inny! - jęknął Pete.

Zaraz pod bramą boiska stała zaparkowana mała, otwarta ciężarówka, jeden z tych pojazdów, jakich używają ranczerzy. Tęgi, krępy mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, drelichowej kurtce, dżinsach i wysokich butach przysiadł na przednim zderzaku wozu. Obok niego, nonszalancko rozparty, siedział wysoki chudy chłopiec z długim nosem. Na drzwiach ciężarówki pięknymi, złotymi literami napisano: "Ranczo Norrisa".

- Chudy Norris! - skrzywił się Bob.

- Co on robi...

Bob nie zdążył skończyć zdania, gdy wysoki chłopiec dostrzegł ich i zawołał:

- Ach, czyż to nie tłucioszek Sherlock Holmes i jego dwa durne psy gończe! - roześmiał się w nieprzyjemny sposób.

Chudy, czyli E. Skinner Norris był odwiecznym wrogiem Trzech Detektywów. Rozpieszczony syn zamożnego biznesmena, Chudy popisywał się stale, usiłując udowodnić, że jest mądrzejszy od Jupitera. Nigdy mu się to nie udało, ale zdołał przysporzyć detektywom wiele kłopotów. Był w lepszej od nich sytuacji - o parę lat starszy, miał prawo jazdy oraz własny sportowy samochód. Detektywi zazdrościli mu tego z taką samą siłą, z jaką nie cierpieli jego napastliwości.

Nie sposób było Jupiterowi zignorować ostatniej zniewagi Chudego. Zatrzymał się nieopodal bramy i zapytał z ironią w głosie:

- Czy ktoś coś mówił, Bob?

- Z pewnością nikogo nie widzę - odpowiedział Bob.

- Ale ja z pewnością kogoś czuję - Pete pociągnął nosem. - Kogoś albo coś.

Krępy kowboj roześmiał się i popatrzył na Chudego. Wysoki chłopak poczerwieniał. Ruszył wyzywająco na detektywów, zaciskając pięści. Właśnie szykował się do riposty, gdy rozległ się czyjś głos:

- Jupiterze Jones! Przepraszam za spóźnienie. Mam wielką prośbę do ciebie.

Z bramy boiska wyszedł smukły, czarnowłosy i czarnooki chłopiec. Trzymał się tak prosto, że wydawał się wyższy, niż był w istocie. Nosił stare, obcisłe dżinsy, niskie buty do konnej jazdy i obszerną białą koszulę z kolorowym haftem. Mówił po angielsku bez akcentu, ale jego sposób bycia wskazywał na związki ze starą hiszpańską kulturą.

- Jaką masz prośbę, Diego? - zapytał Jupiter.

Chudy Norris zaśmiał się.

- Hej, Grubasku, kolegujesz się teraz z przybłędami? Na to wygląda. Dlaczego nie pomożesz odesłać go z powrotem do Meksyku? Zrobiłbyś nam wszystkim przysługę.

Diego Alvaro zawrócił na pięcie. Tak szybko i zwinnie, że stanął przed Chudym, nim

ten przestał się śmiać.

- Odwołaj to - powiedział. - Przeprós.

Niższy o głowę, młodszy i o wiele szczuplejszy od Norrisa, Diego stał niewzruszenie przed swoim przeciwnikiem. Wyglądał dostojnie niczym hiszpański don.

- Zgłupiałeś, nie przepraszam Meksykanów - powiedział Chudy.

Diego bez słowa uderzył Chudego w drwiąco uśmiechniętą twarz.

- Ty, mały...!

Jednym ciosem Chudy powalił mniejszego chłopca. Diego zerwał się natychmiast i starał się zadać cios Chudemu. Znowu został powalony. Wstał, padł, znowu wstał. Chudy przestał się uśmiechać. Odepchnął Diega daleko, aż na jezdnię i rozglądał się, jakby chciał, by ktoś przerwał nierówną walkę.

- Hej! Niech ktoś zabierze tego małego śmiecia...

Jupiter i Pete ruszyli do nich. Krępy kowboj zeskoczył ze śmiechem ze zderzaka.

- Dobra, Alvaro - powiedział - skończ z tym. Oberwiesz...

- NIE!

Wszyscy znieruchomieli na ten okrzyk. Wydał go mężczyzna, który pojawił się w tym momencie. Wyglądał jak starsza replika Diega. Choć znacznie wyższy, miał tę samą smukłą, zwartą budowę ciała i te same czarne włosy i oczy. Nosił również stare dżinsy, zdarte buty do konnej jazdy i haftowaną koszulkę; jego była czarna, wyblakła, z czerwonym i żółtym obszyciem; czarne sombrero ozdobione było muszelkami ze srebra. Twarz miał hardą, spojrzenie zimne i twarde.

- Nikt nie będzie się do tego wtrącał - powiedział oschle. - Chłopcy muszą rozegrać to między sobą.

Kowboj wzruszył ramionami i oparł się o swój wóz. Detektywi, onieśmieleni zawziętością przybysza, tylko patrzyli. Chudy spojrzał na wszystkich i odwrócił się do Diega. Mniejszy chłopiec uniósł pięści i ruszył naprzód.

- Okay, prosisz się o to! - warknął Chudy i zszedł z krawężnika.

Dwaj chłopcy zmagali się na przestrzeni między małą ciężarówką a zaparkowanym dalej samochodem. W pewnej chwili Chudy skoczył w tył, żeby nabrać rozpędu do ostatecznego, miażdżącego ciosu.

- Uważaj! - krzyknęli równocześnie Bob i Pete.

Cofnąwszy się gwałtownie, Chudy znalazł się na wprost nadjeżdżającego samochodu! Nie spuszczał oczu z Diega i nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł.

Zapiszczały hamulce, ale samochód nie zatrzymał się w porę.

Diego rzucił się dziko ku Chudemu i z całym rozpędem uderzył go ramieniem, usiłując zepchnąć z linii nadjeżdżającego samochodu. Obaj potoczyli się na chodnik, podczas gdy samochód minął ich z poślizgiem i zatrzymał się parę metrów dalej.

Obaj chłopcy leżeli nieruchomo na chodniku. Pełni przerażenia wszyscy obserwujący walkę podbiegli do nich.

Diego poruszył się wreszcie i podniósł wolno, uśmiechnięty. Nie był nawet zadraśnięty! Chudemu też się nic nie stało. Natarcie Diega rzuciło go w bezpieczne miejsce, poza linię jazdy samochodu.

Bob i Pete z szerokim uśmiechem klepali Diega po plecach, a kierowca samochodu szedł do nich spieszenie.

- Co za błyskawiczna reakcja, synu! Nic ci się nie stało?

Diego potrząsnął przecząco głową. Kierowca podziękował mu, upewnił się, czy Chudy nie jest ranny, i odjechał. Chudy leżał ciągle na chodniku, blady i wstrząśnięty.

- Szczęście! Piekierne szczęście - mrucał kowboj, pomagając Chudemu się podnieść.

- Chy... chyba on mnie uratował - wystękał Chudy.

- No pewnie! - wykrzyknął Pete. - Podziękuj mu lepiej.

Chudy skinął niechętnie głową.

- Dzięki, Alvaro.

- Dzięki? To wszystko? - powiedział Diego.

- Co? - nie pojmował Chudy.

- Nie słyszałem, żebyś przeprosił - powiedział Diego spokojnie.

Chudy patrzył w osłupieniu na szczupłego chłopca.

- Odwołaj, co powiedziałeś - zażądał Diego.

Chudy poczerwieniał.

- Dobra, odwołuję, jeśli to tyle dla ciebie znaczy. Ja...

- To mnie satysfakcjonuje - oświadczył Diego. Odwrócił się i odszedł.

- Hej, ty... - zaczął Chudy, ale zobaczył szerokie uśmiechy Boba, Pete'a i Jupitera.

Jego wąska twarz zapłonęła ze złości. Ruszył szybko do pikapa.

- Cody! - krzyknął do kowboja. - Zabieramy się stąd.

Kowboj popatrzył na Diega i srogiego nieznajomego, który stał teraz obok chłopca.

- Wy dwaj narobiliście sobie właśnie masę kłopotów - powiedział.

Wsiadł do swego wozu i odjechał wraz z Chudym.

Rozdział 2

Duma Alvarów

Podczas gdy pogrożka Cody'ego wciąż pobrzmiwała w uszach Trzech Detektywów, Diego z trwogą patrzył za odjeżdżającą półciężarówką.

- Moja głupia дума! - zawołał. - To nas zrujnuje!

- Nie, Diego! - odezwał się nieznajomy. - Postąpiłeś słusznie. Alvarowie zawsze stawiają na pierwszym miejscu dumę i honor.

Diego odwrócił się do chłopców.

- To mój brat Pico. Jest głową rodziny. Bracie, to moi przyjaciele: Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews.

Poważny i ceremonialny Pico skłonił się chłopcom. Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale sprawiał wrażenie starego szlachcica hiszpańskiego, mimo wytartych dzinsów i znoszonej koszuli.

- Senores. To zaszczyt was poznać.

- De nada - powiedział Jupiter z ukłonem.

- Ach - Pico uśmiechnął się. - Mówisz po hiszpańsku, Jupiterze?

- Czytam, ale naprawdę mówić nie potrafię - odpowiedział Jupiter trochę zawstydzony. - W każdym razie nie tak, jak po angielsku.

- Nie masz potrzeby mówić dwoma językami - powiedział Pico uprzejmie. - Co do nas, jesteśmy dumni z naszego dziedzictwa, więc mówimy także po hiszpańsku. Ale jesteśmy Amerykanami, jak wy, i również angielski jest naszym językiem.

Nim Jupe zdążył odpowiedzieć, Pete wtrącił niecierpliwie:

- Co ten facet Cody miał na myśli, mówiąc, że narobiliście sobie masę kłopotów?

- Takie tam pogrożki bez znaczenia - powiedział wzgardliwie Pico.

- Nie wiem, Pico - odezwał się Diego z niepokojem. - Pan Norris...

- Nie zwracaj innym głowy naszymi kłopotami, Diego.

- Macie więc jakieś kłopoty? Z Codym i Chudym Norrisem? - zapytał Jupiter.

- Drobnostki - odpowiedział Pico.

- Nie nazwałbym kradzieży rancza drobnostką! - wybuchnął Diego. Bob i Pete byli zaskoczeni.

- Wasze ranczo? Jak...?

- Uspokój się, Diego. Kradzież to mocne słowo - powiedział Pico.

- A jakie słowo byłoby właściwe? - zapytał Jupiter.

Pico namyślał się chwilę.

- Parę miesięcy temu pan Norris kupił rancho sąsiadujące z naszym. Planuje kupienie innych w pobliżu, myślę, że traktuje to jako inwestycję. Chciał nabyć też nasze rancho, ale to wszystko, co posiadamy, i choć oferował dobrą cenę, odmówiliśmy. To go dość rozgniewało.

- Wściekł się jak ogier na uwięzi - wtrącił z uśmiechem Diego.

- Widzicie - kontynuował Pico - na naszej ziemi jest stara tama na rzece Santa Inez i rezerwar wodny. Panu Norrisowi potrzeba wody dla dużego rancza. Gdy odmówiliśmy sprzedaży, oferował więcej pieniędzy. Kiedy wciąż odmawialiśmy, starał się dowieść, że nasza stara, hiszpańska koncesja gruntowa jest nieprawomocna. Ona jednak jest prawomocna. To jest nasza ziemia.

- Nawet kazał Cody'emu, żeby doniósł szeryfowi, że nasze rancho stanowi zagrożenie pożarowe, bo nie mamy dość pracowników - dodał z gniewem Diego.

- Kim jest Cody? - zapytał Bob.

- Zarządza ranchem Norrisa. Pan Norris jest biznesmenem. Nie zna się na prowadzeniu rancza - wyjaśnił Pico.

- Ale szeryf nie uwierzył słowom Cody'ego? Nic więc wam nie zagraża? - upewniał się Pete.

Pico westchnął.

- Utrzymujemy się sami, ale mamy niewiele pieniędzy. Zalegaliśmy z podatkami. Pan Norris dowiedział się o tym i robił starania, żeby zarząd ziemski przejął rancho. Wtedy mógłby je od nich kupić. Musieliśmy szybko zapłacić podatki, więc...

- Zaciągnęliście dług hipoteczny - domyślił się Jupiter.

Pete zmarszczył czoło.

- Co to jest, Jupe, dług hipoteczny?

- Pożyczka pod zastaw domu lub ziemi, albo jedno i drugie - wyjaśnił Jupiter. - Jeśli nie spłacisz pożyczki, bank przejmuje dom lub ziemię.

- To znaczy, że wzięliście pożyczkę, by zapłacić podatki, żeby zarząd nie przejął rancza, ale musicie spłacić pożyczkę, żeby bank nie zabrał wam domu albo ziemi! - powiedział Pete. - Dla mnie to jak uciec z deszczu pod rynnę.

- Nie - powiedział Jupiter. - Podatki trzeba zapłacić od razu, a pożyczkę spłaca się w małych ratach. Pożyczka jest kosztowniejsza, bo musisz płacić procenty od sumy, ale zyskujesz czas i łatwiej dokonywać małych spłat.

- Z tym, że Meksyko-Amerykanie, którzy mają więcej ziemi niż pieniędzy, nie zawsze

uzyskują w Kalifornii pożyczkę bankową - zauważył gniewnie Pico.

- Pożyczki hipotecznej udzielił nam stary przyjaciel i sąsiad, Emiliano Paz. Teraz nie możemy jej spłacić i dlatego zwracamy się do ciebie, Jupiterze.

- Do mnie?

- Póki żyję, nie sprzedamy więcej ziemi Alvarów - mówił Pico z zawziętością w głosie. - Przez wiele pokoleń Alvarowie zgromadzili dużo mebli, dzieł sztuki, książek, strojów, narzędzi... Rozstawanie się z rodzinnymi pamiątkami jest dla nas bolesne, ale musimy wpłacić pieniądze i przyszedł czas na sprzedanie tego, co się da. Słyszałem, że twój wujek Tytus kupuje takie rzeczy i płaci przyzwoicie.

- Jeszcze jak kupuje! - wykrzyknął Pete. - Im starsze rzeczy, tym lepiej.

- Myślę, że wujek Tytus będzie zachwycony - powiedział Jupiter. - Chodźmy.

Jupiter był sierotą i mieszkał ze swym wujkiem Tytusem i ciotką Matyldą na przedmieściu Rocky Beach. Naprzeciw ich małego domu znajdowała się rodzinna firma - skład złomu Jonesa. Wszyscy, jak długie i szerokie wybrzeże południowej Kalifornii, znali tę nadzwyczajną rupieciarnię. Znajdowały się tam nie tylko zwykłe używane rzeczy, jak stare rury i dźwigary stalowe, tanie meble i przyrządy, ale również prawdziwe skarby, które wujek Tytus kolekcjonował: stare marmurowe urządzenia łazienek, kraty z kutego żelaza, rzeźbione drewniane płyty na boazerie.

Codzienną pracę w składzie wujek Tytus pozostawiał cioci Matyldzie. Sam był bardziej zainteresowany skupywaniem przedmiotów, które później sprzedawali. Brał udział we wszystkich wyprzedażach i licytacjach. Nic nie sprawiało mu większej radości, niż okazyny zakup jakiegoś starego dobytku rodzinnego. Jak przewidzieli Jupe i Pete, oferta Alvarów go zachwycała.

- Na co czekamy? - zapytał z błyszczącymi oczami.

Parę minut później ciężarówka Jonesów jechała na północ, zostawiając za sobą Ocean Spokojny i zmierzając ku nadbrzeżnym górcom i ranczu Alvarów. Za kierownicą siedział Hans, jeden z dwu Bawarczyków pracujących w składzie, obok Tytus i Diego. Jupiter, Pete, Bob i Pico jechali na platformie otwartej ciężarówki. Listopadowe popołudnie było wciąż słoneczne, ale nad górami zbierały się czarne chmury.

- Jak myślicie, czy te chmury przyniosą wreszcie trochę deszczu? - zapytał Bob.

Nie padało od maja i każdego dnia oczekiwano nadejścia zimowych deszczy.

Pico wzruszył ramionami.

- Może. To nie pierwsze chmury, jakie pojawiły się tej jesieni. Przydałby się deszcz, i

to jak najszybciej. Szczęśliwie rancho Alvarów ma rezerwuar wodny, ale powinien być wypełniany każdego roku. A teraz poziom wody jest bardzo niski.

Pico spoglądał na wyschnięty brunatny krajobraz z jaśniejszymi plamami przykurzonej zieleni dębów.

- Kiedyś były to ziemie Alvarów - powiedział. - W górę i w dół wybrzeża i daleko poza góry. Ponad dwadzieścia tysięcy akrów.

Bob pokiwał głową.

- Hacjenda Alvarów. Uczyliśmy się o tym w szkole. Ziemia nadana przez króla Hiszpanii.

- Tak - powiedział Pico. - Nasza rodzina mieszka tu od dawna. Juan Cabrillo, pierwszy Europejczyk, odkrywca Kalifornii, zajął ją dla Hiszpanii w 1542 roku. Ale Carlos Alvaro był w Ameryce jeszcze wcześniej! Był żołnierzem konkwistadorów Hernana Cortesa, gdy ten w 1521 roku rozgromił Azteków i podbił południowy Meksyk.

- O rany, o sto lat wcześniej, nim koloniści wylądowali w Plymouth Rock! - wykrzyknął Pete.

- Kiedy Alvarowie przybyli do Kalifornii? - zapytał Jupiter.

- Znacznie później - odparł Pico. - Hiszpanie osiedlili się w Kalifornii dopiero w dwieście lat po odkryciu jej przez Cabrilla. Kalifornia leżała bardzo daleko od miasta Meksyk, stolicy Nowej Hiszpanii, i dostępu do niej bronili wojowniczy Indianie. Początkowo Hiszpanie mogli dotrzeć do Kalifornii tylko morzem.

- Nawet myśleli, że Kalifornia jest wyspą, prawda? - powiedział Jupe.

Pico skinął głową.

- Przez pewien czas. Później, w 1769 roku, kapitan Gaspar de Portola poprowadził ekspedycję na północ i dotarł lądem do San Diego. Przybył z nim mój przodek, porucznik Rodrigo Alvaro. Portola poszedł dalej, odkrył zatokę San Francisco i na koniec, w 1770 roku, założył osadę w Monterey. W drodze na północ mój przodek Rodrigo zobaczył te obszary, gdzie dziś znajduje się Rocky Beach, i później zdecydował się tutaj osiedlić. Ubiegał się o ziemię u gubernatora prowincji w Kalifornii i w 1784 roku została mu nadana.

- Myślałem, że dostał ziemię od króla Hiszpanii - wtrącił Pete.

- W pewnym sensie - przytaknął Pico. - Cały obszar Nowej Hiszpanii należał oficjalnie do króla. Gubernatorzy Meksyku i Kalifornii mogli jednak nadawać ziemię w jego imieniu. Rodrigo otrzymał pięć mil kwadratowych, co stanowi ponad dwadzieścia dwa tysiące akrów. Teraz zostało nam tylko sto akrów.

- Co się stało z resztą? - zapytał Bob.

- Hm? - Pico spoglądał w dal. - W jakiś sposób dokonana się sprawiedliwość. My, Hiszpanie, odebraliśmy ziemię Indianom, inni zabrali ją nam. Było wielu potomków Alvarów w ciągu lat i ziemię wielokrotnie dzielono. Część sprzedano, część rozdano, część rozkradziono za pomocą różnych oszustw urzędników kolonialnych. Tyle było tej ziemi, że to wszystko zdawało się nie mieć znaczenia.

Kiedy w 1848 roku Kalifornia stała się częścią Stanów Zjednoczonych, zaczęto kwestionować prawa własności i obarczać właścicieli podatkami. Powoli ranczo stało się zbyt małe, by przynosić zyski. Ale nasza rodzina zawsze była dumna ze swego hiszpańsko-meksykańskiego dziedzictwa. Noszę imię po ostatnim meksykańskim gubernatorze Kalifornii, Pio Pico, a pomnik wielkiego Cortesa wciąż stoi na terenie naszej posiadłości. Alvarowie nie rezygnowali z uprawiania ziemi. Kiedy ranczo przestawało być opłacalne, sprzedawali tylko część gruntów, żeby mieć na życie.

- A pan Norris chce zabrać resztę! - wykrzyknął Pete.

- Nie dostanie - powiedział Pico z mocą. - To uboga ziemia i nie starcza jej teraz na hodowanie bydła, ale trzymamy kilka koni, zasadziliśmy drzewa awokado i uprawiamy trochę warzyw. Mój ojciec i wuj, którzy już nie żyją, często, żeby utrzymać ranczo, pracowali w mieście. Jeśli będzie trzeba, Diego i ja zrobimy to samo.

Szosa lokalna, którą jechali, prowadziła przez pagórkowaty teren na północ. Teraz osiągnęli odcinek biegnący przez rozległą, otwartą przestrzeń, zupełnie płaską, później zataczał on szeroki łuk w lewo, na zachód. W połowie krzywizny odgałęziała się w prawo kręta bita droga. Pico wskazał na nią.

- Biegnie przez ranczo Norrisa.

Detektywi dostrzegli w oddali zabudowania gospodarskie, ale nie mogli rozróżnić stojących przy nich pojazdów. Byli ciekawi, czy Chudy i Cody wrócili.

Zatoczywszy łuk szosa biegła przez mały, kamienny most nad wyschniętym korytem rzeki.

- To rzeka Santa Inez, granica naszej ziemi - powiedział Pico. - Nie będzie w niej wody, póki nie przyjdą deszcze. Nasza tama na rzece jest o milę dalej na północ, u czoła tych grzbietów.

Grzbiety górskie, o których mówił Pico, zaczynały się zaraz za rzeką i wznosiły w prawo od szosy lokalnej. Stanowiły zespół małych, stromych i wąskich wzgórz, które opadały w dół z gór na północy, niczym długie palce.

Gdy ciężarówka minęła ostatni grzbiet, Pico wskazał na jego szczyt. Widniał tam, czarny na tle nieba, duży posąg mężczyzny na koniu. Jedną ręką mężczyzny była wzniesiona

w górę, jakby dawał znak niewidzialnej armii, by szła za nim.

- Konkwistador Cortes - powiedział Pico z dumą. - Symbol Alvarów. Pomnik zrobili Indianie niemal dwieście lat temu. Cortes jest naszym bohaterem.

Za ostatnim wzgórzem teren był znowu płaski, a droga przecięła następny most nad głębokim, suchym wąwozem.

- Kolejna wyschnięta rzeka? - zapytał Pete.

- Dobrze by było - powiedział Pico. - To tylko strumień. Woda gromadzi się w nim po silnej burzy, ale nie zasila go, jak rzekę Santa Inez, woda z gór.

Ciężarówka skręciła teraz w prawo, na bitą drogę, wzdłuż której rosły drzewa awokado. Wkrótce skręciła ponownie w prawo, wjeżdżając na rozległe, nagie podwórze.

- Witajcie w hacjendzie Alvarów - powiedział Pico.

Po zejściu z ciężarówki, detektywi zobaczyli długą, niską, ceglana hacjendę. Ściany miała bielone, głęboko osadzone okna i stromy dach, kryty czerwoną dachówką. Dach opadał aż nad frontową werandę i wsparty był na drewnianych słupach i belkach. Na lewo od hacjendy stała ceglana stajnia. Teren przed nią był ogrodzony płotem, tworząc korral. Poskręcane dęby rosły wokół stajni i korralu, i poza hacjendą. Wszystko zdawało się niegościnne i zniszczone pod listopadowym, pochmurnym niebem.

Strumień, który przecięli po drodze, biegł w pobliżu hacjendy, a za nim wznosiły się długie wzgórza. Jupiter pokazał wujkowi pomnik Cortesa.

- To na sprzedaż? - spytał szybko Tytus.

- Nie, ale w stajni jest dużo rzeczy na sprzedaż - odpowiedział Pico.

Hans podprowadził ciężarówkę pod korral, a pozostali poszli przez piaszczysty teren do stajni. Wewnątrz było mroczno i Pico odwiesił swój kapelusz na kołek, aby wygodniej mu było pokazywać rodzinne skarby. Wujek Tytus i detektywi otworzyli szeroko oczy na ich widok.

Długi budynek stajni wyposażony był do połowy w przegrody dla koni i zwykły farmerski ekwipunek. Druga połowa była magazynem. Od podłogi po sufit zwalono tam stoły, krzesła, skrzynie, sekretery, komody, lampy naftowe, narzędzia, draperie, miski, dzbany, wanny i nawet stary dwukołowy powóz. Na widok tak bajecznych skarbów, wujek Tytus zaniemówił z wrażenia.

- Alvarowie mieli kiedyś wiele domów - wyjaśniał Pico. - Teraz mamy tylko hacjendę, a umeblowanie pozostałych jest tutaj.

- Kupuję wszystko natychmiast! - wykrzyknął wujek Tytus.

- Patrzcie! - zawołał Bob. - Stara zbroja! Hełm i pancerz.

- Miecze i siodła ze srebrnymi okuciami! - wtórował mu Pete.

Wszyscy zaczęli szperać z zapalem. Wujek Tytus właśnie zdążył się zabrać do spisywania rzeczy, gdy na dworze rozległ się krzyk. Wujek Tytus przerwał pisanie. Po chwili krzyczały już dwa głosy.

Zaczęli nasłuchiwać. Znowu nadbiegł krzyk, teraz już wyraźniejszy.

- Pożar! Pożar!

Pożar! Na łeb, na szyję rzucili się do drzwi.

Rozdział 3

Pożar!

Gdy detektywi wybiegli ze stajni, poczuli unoszący się w powietrzu lekki zapach dymu. Na podwórzu stali dwaj mężczyźni, machali rękami i krzyczeli:

- Pico! Diego! Tam!

- Za tamą!

Pico pobladł. Z korralu widać było słup dymu, wznoszący się ku pochmurnemu niebu znad wyschniętych na brąz gór na północy. Oznaczał najgroźniejsze ze wszystkich niebezpieczeństwo - pożar poszycia!

- Daliśmy znać straży pożarnej i zarządowi lasów! - krzyknął jeden z mężczyzn. - Szybko, bierzcie łopaty i siekiery!

- Trzeba tam jechać! - krzyczał drugi. - Weźcie wasze konie!

- Jedźmy naszą ciężarówką! - powiedział Jupiter.

- Dobra - zgodził się Pico. - Łopaty i siekiery są w stajni.

Rosły Hans pobiegł zapuścić motor ciężarówki, a pozostali taszczyli ze stajni narzędzia. Diego i wujek Tytus wsiedli spiesznie do szoferki. Wszyscy inni stłoczyli się na otwartej platformie, uczepliwszy się boków, gdy ciężarówka ruszyła. Pico, bez tchu, przedstawił dwóch mężczyzn, którzy wszczęli alarm.

- To nasi przyjaciele, Leo Guerra i Porfirio Huerta. Ich rodziny od wielu pokoleń pracowały na hacjendzie Alvarów. Teraz Leo i Porfirio mają małe domy wyżej, przy drodze, i pracują w mieście, ale wciąż pomagają nam na ranczu.

Dwaj niscy, czarnowłosi mężczyźni uprzejmie przywitali się z chłopcami. Potem, gdy Hans wyjechał na wąską bitą drogę, wiodącą ku górcom przez ranczo Alvarów, patrzyli przed siebie z niepokojem ponad dachem szoferki. Na ich suchych, wysmaganych wiatrem twarzach malowała się troska. Tarli nerwowo ręce o swe stare, polatane dzinsy.

W miarę jak ciężarówka posuwała się na północ, dym gęstniał i niemal zdławił światło pochmurnego dnia. Detektywi tylko mgliście zdawali sobie sprawę z tego, co mijali - ledwie można było rozpoznać ogród warzywny z rowami nawadniającymi i na polu stado koni, galopujących na południe. Początkowo droga biegła równoległe do wyschniętego strumienia i pasma wzgórz za nim. Później, bliżej gór, rozwidlała się. Pożar wybuchł na wprost prawego odgałęzienia. Hans skierował ciężarówkę na wyboistą drogę, wjeżdżając w rozchodzący się wokół dym. Droga skręcała do suchego strumienia, który kończył się nagle u stóp wysokiego,

skalistego wzgórza. Zaraz za tym punktem kończyło się samo wzgórze i ciężarówka minęła starą, kamienną tamę na prawo od drogi. Poniżej tamy, wyschnięte koryto Santa Inez zataczało łuk na południowy wschód, wzdłuż przeciwległego zbocza długiego wzgórza. Powyżej tamy znajdował się rezerwuuar - nie większy od wąskiego stawu u podnóża niskiej góry. Gdy ciężarówka objeżdżała dookoła staw, ukazały się skaczące w górę przez dym płomienie.

- Stać! - krzyknął Pico.

Ciężarówka zahamowała ze zgrzytem, niecałe sto metrów od nacierającego ognia, i wszyscy wysiedli.

- Rozstawcie się jak najszerszej i niech każdy wykarczuj kawałek poszycia - komenderował Pico. - Ziemię rzucajcie w stronę płomieni. Może zdołamy skierować ogień do stawu! Szybko!

Powyżej stawu, za tamą, ogień wypalił szerokie półkole po obu stronach rzeki. Czerń spalonego poszycia powiększała się zastraszająco. Dym unosił się znad niej, a płomienie wyskakiwały w górę, niczym chowające się gdzieś przy ziemi diabliki. Żywe, szarozielone zarośla w sekundę zmieniły się w szerniałe popioły.

- Dobrze, że prawie nie ma wiatru! - zawołał Pete. - Kopać, chłopaki!

Rozstawiali się na wprost nadciągającej wolno linii ognia, po lewej stronie rzeki, i wzięli się do wycinania drzewek, wrywania poszycia i kopania płytkiego rowu, rzucając ziemię w stronę ognia.

- Patrzcie! - Bob wskazał drugi brzeg rzeki. - Przyjechał Chudy i ten rządcą Cody!

Za rzeką Chudy, rządcą i jeszcze wielu mężczyzn wysypywało się z półciężarówki Norrisa i dwu innych ciężarówek. Uzbrojeni w łopaty i siekiery wszczęli po swej stronie walkę z pożarem. Jupiter zauważył, że był tam nawet pan Norris, który wymachując rękami rzucał rozkazy.

Obie grupy walczyły z ogniem, ledwie widząc się nawzajem przez dym i płomienie. Zdawało się, że trwało to całe godziny, ale sądząc z wysokości słońca, ukazującego się od czasu do czasu przez dym i ciemniejące chmury, nie minęło więcej niż pół godziny od przybycia obu ekip.

Przyjechali ludzie z zarządu lasów, z cysternami chemikalii i buldożerami. Pomocnicy szeryfa przyłączyli się do grupy Alvarów i Norrisów. Wozy straży pożarnej nadciągały z Rocky Beach i ze wszystkich okolic. Wozy z pompami podjechały tyłem do stawu i rzeki i wkrótce potężny strumień wody uderzył w nacierające płomienie.

Wszystkie ciężarówki wysłano po oczekujących ochotników. Odjechał Hans, a po

drugiej stronie stawu ciężarówki Norrisów pędziły na południe, do szosy lokalnej.

Kilka helikopterów i samolotów nurkowało nisko nad płomieniami i dymem, wylewając na nie zbiorniki wody i tłumiących ogień chemikaliów. Niektóre przelatywały aż za góry, nad niewidoczny stąd pożar. Inne oblewały swym ładunkiem walczące z ogniem ekipy.

Przez następną godzinę wydawało się, że zmagania są bezowocne. Płomienie postępowały coraz dalej. Wszyscy musieli się cofać, żeby dym ich nie dławił. Ale brak wiatru i szybka akcja tak po stronie Alvarów, jak i Norrisów, powoli przynosiła efekty. Ogień w końcu jakby się zawahał. Wciąż buchał wściekle, okrywając gęstym dymem niebo i ziemię, ale zdawał się tylko pozorować natarcie, stąpając w miejscu, jak unieruchomiona armia.

Został więc zatrzymany, ale nie ugaszony! Ciężarówki nie przestawały jeździć tam i z powrotem, przywożąc nowych ochotników z odległej szosy.

- Nie ustawajcie! - krzyczał kapitan strażaków. - W każdej chwili może zacząć się znów rozprzestrzeniać!

Dziesięć minut później Jupiter wyprostował się ze znużeniem, by otrzeć spoconą twarz. Coś go pacnęło w policzek i wykrzyknął:

- Deszcz! Pico! Wujku Tytusie! Pada!

Powoli spadały wielkie ciężkie krople. Rozciągnięci w długą linię, walczący z ogniem przerwali pracę i spoglądali w górę. Wtem niebo jakby się otworzyło i na ich poczerńiałe od dymu twarze runął istny potop. Rozbrzmiał wielki zgodny okrzyk radości, a ogień syczał i parował.

- Deszcz! - radował się Bob, podstawiając umazaną sadzą twarz pod nawałnicę wody. Co pewien czas rozlegał się grzmot.

Dym roznosił się wokół i języki płomieni wciąż lizały zwęglone zbocza, ale niebezpieczeństwo już minęło. Ochotnicy zbierali się do odjazdu, zostawiając resztę pracy strażakom i służbie leśnej.

Ludzie Alvarów, umorusani, mokrzy i zmęczeni, zgromadzili się na bitej drodze koło tamy. Hans nie wrócił jeszcze z ostatniej tury. Ulewa zaczęła słabnąć, przeszła w równomierną mżawkę i niebo późnego popołudnia trochę przejaśniało.

- Chodźcie - powiedział Pico. - Możemy wrócić pieszo. To niecała mila, rozgrzejemy się w ruchu. Zmęczeni, przemoczeni, ale szczęśliwi chłopcy pomaszzerowali w dół wraz z innymi. Wąska bita droga, błotnista od deszczu, zatłoczona była ciężarówkami i pieszymi, zmierzającymi wolno na południe. Na wprost majaczył wysoki grzbiet, oddzielający Santa Inez od wyschniętego strumienia.

Pico obrzucił spojrzeniem tłumy grzęznące w błocie i pociągnął za sobą swych towarzyszy.

- Tędy jest krótsza i przyjemniejsza droga do hacjendy - wyjaśnił detektywom i wujkowi Tytusowi.

Poszli skrajem tamy i znaleźli się na wielkim, pokrytym niskimi zaroślami wzniesieniu u stóp wysokiego pasma wzgórz. Było to wzniesienie, które zamykało strumień po zachodniej stronie. Niewyraźna ścieżka wiodła w dół do koryta rzeki. Nim zeszli w dół, obejrzeni się za siebie. Cały obszar powyżej tamy, po obu stronach rzeki, był zniszczony przez ogień.

- Spalona ziemia nie zdoła zatrzymać wody - powiedział posępnie Leo Guerra. - Jeśli będzie dalej padało, dojdzie do powodzi.

Szli spiesznie w dół wzniesienia i wzdłuż błotnistego teraz koryta Santa Inez. Po drugiej stronie rzeki przebiegała bita droga, prowadząca przez rancho Norrisów. Była również zatłoczona pojazdami i ludźmi wracającymi na szosę lokalną. Detektywi dostrzegli sunącą wolno półciężarówkę Norrisów. Chudy siedział wraz z innymi na platformie. Zobaczył chłopców po drugiej stronie rzeki, ale nawet on był zbyt zmęczony, by zareagować.

- Czy to już ziemia Norrisów? - zapytał Bob.

Pico skinął głową.

- Rzeka stanowi naszą granicę, od szosy lokalnej aż po tamę. Potem granica biegnie na północny wschód, przez krótki odcinek w górach. Tama i rzeka powyżej niej znajdują się w całości na naszej ziemi.

Wysokie skaliste wzniesienie na prawo od nich obniżyło się. Detektywi mogli teraz widzieć poza nim kilka długich wzgórz, wybiegających na południe. Pico wszedł na trawiasty szlak, odbijający od koryta rzeki i wiodący przez małe pagórki. Maszerowali, rozciągnięci w długi sznur, i podziwiali nie dotknięty ogniem krajobraz. Pagórki były porośnięte rzadkimi, niskimi zaroślami, między którymi przeświecały brązowe skały. Dym wciąż unosił się w powietrzu, ale deszcz niemal ustał. Słońce na chwilę przebiło się przez chmury i zaszło.

Pete miał wciąż dość sił, by iść szybko, a Jupiter zbyt się niecierpliwił, by marudzić. Wkrótce obaj wysunęli się na czoło pochodu. Gdy wspinali się po zboczu ostatniego wzgórza, odbili już od reszty o dziesięć lub dwadzieścia metrów.

- Jupe! - wykrzyknął Pete wskazując w górę.

Wysoko, na górskim grzbiecie nad nimi, przez snujący się dym przebijał się mężczyzna na wielkim, czarnym koniu! Chłopcy wpatrywali się w półmroku w szarżującego wierzchowca, którego potężne kopyta były przesycone dymem powietrze i którego głowa...

- On... on... - wyjąkał Jupiter. - On nie ma głowy!

Stojący dęba na grani wielki koń był stworem bezgłowym.

- Uciekajmy! - wykrzyknął Pete.

Rozdział 4

Bezglowy koń

Mieli wrażenie, że bezglowy koń skacze na nich przez dym!

Pete i Jupiter zawrócili w ucieczce, równocześnie Bob i Diego biegli w górę. Za nimi, wąską ścieżką wśród wzgórz, spieszyli wujek Tytus, Pico, Leo Guerra i Porfirio Huerta.

- On nie ma głowy! - wrzeszczał Pete. - To duch! Uciekajmy!

Bob zatrzymał się i spojrzał w górę na jawiącego się w rzedniejącym dymie konia i jeźdźca. Otworzył szeroko oczy.

- Jupe, Pete, to tylko... - zaczął.

Diego pokładał się ze śmiechu.

- To posąg Cortesa, chłopcy! Dym wywołał wrażenie, że koń się porusza!

- To nie może być Cortes! - krzyczał Pete. - Ten wasz posąg miał głowę!

- Głowę? - Diego przyglądał się uważnie. - Ależ tak, koń stracił głowę! Ktoś uszkodził posąg! Pico!

- Widzę - powiedział Pico, który zbliżył się wraz z pozostałymi. - Chodźmy się temu przyjrzeć.

Wdrapali się po zasnutym dymem zboczu pod drewniany pomnik. Tułów zarówno konia, jak i jeźdźca był grubo wyciosany z jednego kłoca. Nogi, ręce, miecz i siodło wyrzeźbiono oddzielnie i połączono z korpusem zwierzęcia. Koń był cały czarny, tylko ozdobiony kastyljską żółcią i czerwienią. Pod wysokim siodłem, packi farby miały wyobrażać wzorzystą kapę. Jeździec był również pomalowany na czarno, z wyjątkiem żółtej brody, niebieskich oczu i czerwonych ozdób na zbroi. Farba już dawno wyblakła.

- Pomnik odmalowywano dość systematycznie, ale ostatnio nie zdołaliśmy o to należycie zadbać - powiedział Diego. - Myślę, że drewno zaczyna teraz gnić.

W trawie tuż przy pomniku zobaczyli odłamaną głowę konia z otwartym pyskiem, pokrytym wyblakłą czerwienią. Pico wskazał na ciężki metalowy pojemnik, leżący obok.

- To odwalilo koniowi głowę. Puszka po chemikaliach do gaszenia ognia. Musiała spaść z samolotu albo helikoptera, kiedy leciały nad pomnikiem.

Pete przykucnął, żeby obejrzeć głowę. Długi kawał drewna tworzył ją wraz z szyją konia. Głowa i szyja były wydrążone w środku, jakby rzeźbiarz chciał zmniejszyć ich wagę przed przymocowaniem do tułowia. Coś wystawało nieco z wydrążonej szyi. Pete wyciągnął to na zewnątrz.

- Co to? - zapytał.

- Daj obejrzeć - poprosił Jupiter.

Trzymał teraz w ręce długi, cienki walec ze skóry, usztywniony matowym metalem i pusty w środku.

- Wygląda jak pochwa miecza - powiedział z namysłem. - Wiesz, to, w czym nosi się miecz, jak rewolwer w olstrze. Tylko...

- Tylko że to zbyt obszerne - dokończył Bob. - Miecz na pewno by w tym grzechotał.

- I nie ma pętli do zawieszenia na pasie - dodał Jupe.

- Pokażcie mi to - Pico wziął walec i kiwnął głową. - Jupiter ma trochę racji. To nie jest pochwa, lecz pokrowiec. Nakładało się go na pochwę dla zabezpieczenia cennego miecza, gdy się go nie nosiło. Wygląda na bardzo stary.

- Stary? Cenny? - Diego ożywił się nagle. - Może to pokrowiec na miecz Cortesa! Pete, zajrzyj do wnętrza głowy konia.

Pete grzebał już w odłamanej głowie. Potem wstał i zbadał cały pomnik. Potrząsnął głową.

- Niczego więcej nie ma ani w szyi, ani w głowie, a tułów i nogi są pełne, nie wydrążone.

- Głupstwa, Diego - mruknął Pico. - Miecz Cortesa zaginął dawno temu.

- Czy to był jakiś cenny miecz? - zapytał Pete.

- Chyba tak, choć czasem miałem wątpliwości - odparł Pico. - Nasz przodek, Carlos Alvaro, pierwszy, który przybył do Nowego Świata, uratował kiedyś z zasadzki armię Cortesa. W dowód uznania otrzymał od Cortesa miecz. Powiadano, że był to miecz specjalny, paradny, подарowany Cortesowi przez króla Hiszpanii. Podobno miał rękojeść ze szczerzego złota i cały był inkrustowany drogimi kamieniami. Kiedy Rodrigo Alvaro osiadł na tej ziemi, przywiózł miecz ze sobą.

- Co się z nim później stało? - zapytał Jupiter.

- Przepadł w 1846 roku, na początku wojny amerykańsko-meksykańskiej, gdy do Rocky Beach wkroczyli żołnierze jankesów.

- Chcesz powiedzieć, że ukradli go amerykańscy żołnierze?! - wykrzyknął Pete.

- Prawdopodobnie - powiedział Pico. - Wszyscy żołnierze mają zwyczaj zabierania cennych rzeczy w kraju nieprzyjaciela. Urzędnicy wojskowi zapewniali później, że nigdy nie słyszeli o mieczu Cortesa i być może to prawda. Mego prapradziadka, don Sebastiana Alvara zastrzelili Amerykanie przy próbie ucieczki z aresztu. Wpadł do oceanu i nigdy go nie znaleziono. Dowódca garnizonu jankesów w Rocky Beach uważał, że miecz wpadł do morza

wraz z don Sebastianem. W każdym razie przepadł. Może wcale nie był tak bajeczny. Po prostu zwykły miecz, który mój prapradziadek miał przypasany w czasie ucieczki.

- Ale nikt nie wie - powiedział Jupiter z namysłem - co naprawdę stało się z mieczem. I ktoś musiał włożyć do pomnika ten stary pokrowiec, i...

- Pico! Hacjenda płonie!

Diego stał na krawędzi po drugiej stronie grani. Wszyscy przyłączyli się do niego i wpatrywali się z przerażeniem w dal. Hacjenda stała w ogniu!

- Stajnia też się pali! - krzyknął wujek Tytus.

- Szybko! - wykrzyknął Pico.

Popędzili w dół zbocza i dalej przez pole ku wznoszącym się w wieczorne niebo płomieniom. Dym z palących się budynków mieszał się z dymem, który wciąż nadciągał z dna leśnego pogorzelska. Na piaszczystym podwórzu hacjendy stał wóz straży pożarnej i dzielni strażacy starali się zbliżyć z siekierami do budynku. Mimo ich wysiłków, właśnie gdy Alvarowie z przyjaciółmi przybyli na podwórze, dachy domu i stajni zawaliły się z hukiem. Zostały tylko palące się ruiny!

- To beznadziejne - powiedział kapitan straży pożarnej do Pica. - Przykro mi, Alvaro. Musiały przeskoczyć tu iskry z płonącego poszycia.

- Jak to się mogło stać? - zapytał Pete. - Nie było przecież w ogóle wiatru.

- Przy gruncie się go nie czuło, ale często wyżej jest silna bryza - powiedział kapitan. - Z dna ognia unosi się gorące powietrze, niosące ze sobą iskry, i wiatr na wyższym pułapie porywa je i niesie na dużą odległość. Widziałem już przedtem podobne przypadki. Niewiele trzeba, żeby zapalić te stare krokwie na obu budynkach. A kiedy raz ogień dostanie się pod dachówki, deszcz nie może go już ugasić. Gdybyśmy zobaczyli łunę wcześniej, moglibyśmy coś ocalić, ale przez ten cały dym...

Kapitan nagle odskoczył, bowiem dwie ściany starej hacjendy zawaliły się z trzaskiem. Płomienie nie miały już co trawić i szybko dogasały. Pico i Diego stali w milczeniu. Chłopcy i wuj Tytus patrzyli skonsternowani, nie znajdując słów.

- A co z rzeczami w stajni!? - zawołał nagle Pete.

Wuj Tytus, Bob i Jupiter obejrzeni się na stajnię. Była również tłącą się ruiną, wewnątrz spaliło się wszystko. Rzeczy, które wujek Tytus zamierzał kupić od Alvarów!

- Wszystko stracone - powiedział Pico. - I nie mamy żadnego ubezpieczenia. Teraz już koniec.

- Możemy odbudować hacjendę! - wykrzyknął zapalczywie Diego.

- Tak - zgodził się Pico. - Ale jak spłacić hipotekę? Jak utrzymać ziemię, żeby móc na

niej budować?

- Wujku Tytusie? - zagadnął Jupiter. - Zgodziliśmy się kupić te rzeczy w stajni, więc były jakby nasze. Myślę, że musimy za nie zapłacić.

Wujek Tytus zawahał się, po czym skinął głową.

- Tak, masz rację. Transakcja jest transakcją. Pico...

Pico potrząsnął głową.

- Nie, przyjaciele, nie możemy tego przyjąć. Dziękuję za waszą wspaniałomyślność, ale jeśli już nic nam więcej nie zostało, musimy chociaż zachować dumę i honor. Nie, sprzedamy ziemię panu Norrisowi, spłacimy długi i znajdziemy dom i pracę w mieście. Albo może nadszedł czas, żeby wrócić do Meksyku.

- Ależ wy jesteście tutaj u siebie! - zaproponował Bob. - Alvarowie byli tu wcześniej niż ktokolwiek inny.

- Być może udałoby się gdzie indziej znaleźć pieniądze, których wam trzeba - powiedział z wolna Jupiter.

Pico uśmiechnął się smutno.

- Nie ma takiego sposobu, Jupiterze.

- Być może jest... - powiedział zażywny przywódca detektywów. - To niepewne, ale... Czy musicie spłacić tę hipotekę natychmiast? I czy macie jakieś miejsce, gdzie moglibyście na razie zamieszkać?

- Możemy zamieszkać z panem Pazem, naszym sąsiadem - powiedział Diego.

Pico skinął głową.

- Tak, i myślę, że możemy odwlec o parę tygodni spłatę. Ale co...

- Myślałem o tym mieczu Cortesa - wyjaśnił Jupiter. - Jeśliby go skradziono w czasie wojny amerykańsko-meksykańskiej, gdzieś by się w ciągu tych przeszło stu lat pokazał. Jestem pewien, że żołnierze sprzedaliby go od razu. Ponieważ nigdy więcej go nie widziano, zastanawiam się, czy rzeczywiście został skradziony. Może ukryto go tak, jak pokrowiec, który znaleźliśmy.

- Pico! - zawołał Diego z ożywieniem. - Założę się, że on ma rację! My...

- Głupstwa gadasz! - wykrzyknął Pico. - Może być tysiąc przyczyn, dla których nigdy więcej nie widziano miecza. Mógł wpaść do morza wraz z don Sebastianem lub po prostu ulec zniszczeniu. Być może żołnierze sprzedali go komuś, i jakaś rodzina przechowuje go przez te wszystkie lata. Równie dobrze może być teraz w Chinach. Przez ten pokrowiec wyciągasz pochopne wnioski, ale pokrowiec może należeć do innych mieczy. Nie, znalezienie miecza Cortesa jest dziecinną fantazją, a fantazjami nie uratujemy naszego

rancza.

- To wszystko jest możliwe - przyznał Jupiter - ale pokrowiec miecza nie dostał się do pomnika przypadkowo. Obecność wrogich żołnierzy w mieście była wystarczającym powodem dla don Sebastiana, by ukryć cenny miecz. Myślę, że powinieneś choć spróbować go poszukać, a my chętnie ci pomożemy. Pete, Bob i ja mamy pewne doświadczenie w odnajdowaniu rzeczy.

- Oni są detektywami, Pico - powiedział Diego, a Bob podał starszemu z braci kartę wizytową firmy. Wyglądała następująco:

<p style="text-align:center">TRZEJ DETEKTYWI Badamy wszystko ??? Pierwszy Detektyw Jupiter Jones Drugi Detektyw Pete Crenshaw Dokumentacja i analizy Bob Andrews</p>
--

Ponieważ Pico miał sceptyczną minę, Jupiter wręczył mu drugą kartę. Głosiła, co następuje:

Zaświadcza się, że posiadacz tego dokumentu jest młodocianym, ochotniczym pomocnikiem szeryfa, współpracującym z oddziałem policji w Rocky Beach. Będziemy wdzięczni za wszelką udzieloną mu pomoc.

Samuel Reynolds
Komendant policji

- W porządku, jesteście detektywami - powiedział Pico. - Ale pomysł jest w dalszym ciągu głupi. Kto zdoła znaleźć miecz zagubiony przed przeszło stu laty?

- Niech próbują, Pico! - nalegał Diego.

- To nie może zaszkodzić - dodał wujek Tytus.

Pico spojrział na ruiny swojej ładnej, starej hacjendy i westchnął.

- Świetnie, próbujcie. Pomogę wam, ile tylko będę mógł, ale wybaczcie mi brak optymizmu. Od czego, na przykład, zaczniecie? Jak? Gdzie?

- Coś wymyślimy - powiedział Jupiter niezbyt przekonująco.

Wkrótce potem zajechał Hans ciężarówką. Alvarowie wraz z Guerrą i Huertą poszli do swego sąsiada Emiliana Paza, a detektywi pojechali z powrotem do miasta. Gdy już

siedzieli na platformie ciężarówki, Pete zapytał:

- Jupe? Rzeczywiście, od czego zaczniemy?

- Och - Jupiter uśmiechnął się. - Masz odpowiedź w ręce.

- Doprawdy? - Pete spojrzał na stary pokrowiec miecza, który trzymał w rękach.

- Nie chciałem w nich budzić przedwczesnych nadziei, ale coś zauważyłem - wyjaśnił Jupiter. - Na metalowym wypełnieniu pokrowca są małe znaki. Zatelefonujemy do Alfreda Hitchcocka, czy może nam polecić kogoś, kto by je rozszyfrował.

Pulchnemu przywódcy zabłyśły oczy.

- Domyślam się już, co znaczą, i jeśli mam rację, wkrótce będziemy na drodze do znalezienia miecza Cortesa!

Rozdział 5

Zaczyna się poszukiwanie

- Fantastyczne! - wykrzyknął profesor Moriarty, a oczy mu błyszczały. - Nie ma żadnej wątpliwości, młody człowieku, te znaki to królewski herb Kastylii!

Było piątkowe popołudnie i Trzej Detektywi znajdowali się w gabinecie profesora Moriarty'ego w Hollywoodzie. Rano Jupiter zatelefonował do Alfreda Hitchcocka i sławny reżyser wskazał swego przyjaciela, Marcusa Moriarty'ego, jako tutejszego eksperta numer jeden w dziedzinie historii Hiszpanii i Meksyku. Pan Hitchcock zgodził się zatelefonować do profesora i poprosić go, by spotkał się z chłopcami. Zaraz po szkole poprosili Hansa, żeby ich zawiózł pod dom profesora.

- Ten pokrowiec niewątpliwie należał do króla Hiszpanii na początku szesnastego wieku - mówił profesor. - Gdzie go znaleźliście?

Jupiter powiedział mu o posągu i zapytał:

- Czy ten pokrowiec jest dostatecznie stary, żeby być pokrowcem miecza Cortesa?

- Miecz Cortesa? - profesor zmarszczył czoło. - Ależ tak, pokrowiec jest z tego samego okresu co miecz. Ale, rzecz jasna, miecz Cortesa zaginął wraz z don Sebastianem w 1846 roku. Chyba że... nie powiecie mi, że znaleźliście również miecz!?

- Nie, proszę pana - odpowiedział Bob.

- W każdym razie jeszcze nie! - uśmiechnął się Pete.

- Panie profesorze, gdzie możemy znaleźć informacje o tym, co dokładnie stało się z don Sebastianem w 1846 roku? - zapytał Jupiter. - Gdzie znajdują się relacje także z innych wydarzeń w tych czasach?

- Zdaje się, że Towarzystwo Historyczne w Rocky Beach posiada wszystkie dokumenty rodziny Alvarów - powiedział profesor. - Mają tam również kopie niektórych dokumentów armii Stanów Zjednoczonych z okresu wojny amerykańsko-meksykańskiej. Dokumentów związanych z tym rejonem. Towarzystwo Historyczne to na pewno miejsce, gdzie znajdziecie najbardziej kompletne archiwa miejscowej historii.

Chłopcy podziękowali i zbierali się do wyjścia.

- Zobaczycie, że studia nad 1846 rokiem będą interesujące - powiedział jeszcze profesor. - Wojna amerykańsko-meksykańska była dość dziwnym epizodem w historii Kalifornii... i Ameryki.

- Dlaczego? - zapytał Bob.

- Rząd Stanów Zjednoczonych wypowiedział wojnę Meksykowi w maju 1846 roku, co, jak się uważa, było próbą zagarnięcia Meksyku wraz z Kalifornią. Wielu Kalifornijczyków nie czuło się dobrze pod rządami meksykańskimi. Przeważnie byli to osiedleni tu jankesi, ale również niektórzy starzy hiszpańscy rancheros. Tak więc, gdy amerykańskie okręty wojenne zajmowały na początku wojny najważniejsze porty kalifornijskie, niemalże nie napotykały oporu. Żołnierzom wyznaczano później miejsca stacjonowania wzdłuż całego wybrzeża; wielu spośród nich było ochotnikami amerykańskiej ekspedycji odkrywczej Johna C. Fremonta. Tak się złożyło, że Fremont przebywał w tym czasie w Kalifornii, a jego żołnierze jeszcze przed wypowiedzeniem wojny zachowywali się jak najeźdźcy.

- Tak, uczyliśmy się w szkole o majorze Fremoncie - wtrącił Bob.

- Jak więc mówiłem, porty nie stawiały oporu i wszystko odbyło się spokojnie. Oczywiście byli i tacy rancherzy, którym nie podobała się nowa sytuacja, ale nie stworzyli oni zorganizowanej opozycji. Potem dowódca jankesów, ustanowiony przez Fremonta komendantem Los Angeles, zaczął postępować bezprawnie, aresztując miejscowych rancherów i upokarzając ich bez potrzeby. Wkrótce społeczeństwo zbrojnie powstało. Przypuszczam, że don Sebastian Alvaro był ofiarą niefortunnej polityki komendanta. Gdyby przeżył, brałby zapewne udział w walce, jaka się rozpełtała. Rodzina Alvarów była lojalna wobec Meksyku. O ile wiem, syn don Sebastiana walczył z amerykańskim najazdem w Meksyku, w armii meksykańskiej. A wracając do Kalifornii: zmagania wojenne trwały tu zaledwie parę miesięcy, po czym Kalifornia została opanowana przez Amerykanów. Meksyk zrzekł się jej oficjalnie na rzecz Stanów Zjednoczonych z końcem wojny w 1848 roku.

- Rany, to musiały być emocjonujące czasy - powiedział Pete. - Pomyślcie, prawdziwa wojna na naszym własnym podwórzu!

Profesor Moriarty surowo spojrział na Pete'a.

- Wojna być może jest przeżyciem ekscytującym, ale na pewno nie jest przyjemnością. Dziękuj Bogu, że żyjesz w spokojnych czasach.

Pete zawstydził się i profesor powiedział już łagodniej:

- Przypuszczam, że doznacie, chłopcy, i tak wielu emocji. Jeśli dobrze zrozumiałem, macie powody sądzić, że miecz Cortesa jest wciąż w Rocky Beach, i szukacie go?

- Nie, proszę pana, to tylko przypuszczenie oparte na przeczuciu - powiedział Jupiter.

- Ach, tak. Myślałem zawsze, że skoro tak długo nie widziano miecza, jest to jedynie legenda. W każdym razie będzie dla mnie bardzo interesujące wszystko, co uda wam się odkryć.

- Z przyjemnością o wszystkim pana zawiadomimy - powiedział Jupiter i raz jeszcze podziękował profesorowi za pomoc.

Gdy wyszli na dwór, padał lekki deszcz. Musieli zaczekać na Hansa, który pojechał załatwić jakąś sprawę dla wujka Tytusa. Schronili się pod drzewem;

- Profesora Moriarty'ego nieźle podekscytował ten miecz - powiedział Pete. - Pewnie wielu by się podnieciło.

- Tak - Jupiter zmarszczył czoło. - Wiecie, chłopaki, w miarę możliwości nie wspominajmy lepiej nikomu o mieczu Cortesa. Obawiam się, że wzbudziłoby to u różnych ludzi chęć odszukania go. Mamy teraz niemal pewność, że pokrowiec należy do miecza Cortesa. Są więc całkiem realne szanse znalezienia go w okolicach Rocky Beach.

- Idziemy teraz do Towarzystwa Historycznego? - zapytał Bob.

- Tak, myślę, że to nasz następny krok.

- Czego tam będziemy szukać, Jupe? - spytał Pete.

- Nie wiem dokładnie. Jeśli moje przecucie jest słuszne, to trzeba nam dowodu, że zdarzenia 1846 roku nie przebiegały tak, jak ludzie myślą.

Deszcz wzmógł się właśnie, gdy zajechał Hans i Trzej Detektywi stłoczyli się w szoferce obok rosnącego Bawarczyka. W Rocky Beach Hans wysadził ich przed Towarzystwem Historycznym i odjechał załatwić następną sprawę. Chłopcy weszli spieszenie do budynku.

W cichych pokojach pełnych książek, dokumentów i starych druków nie było nikogo oprócz dyżurnego historyka. Znał dobrze chłopców i sporo o nich wiedział, uśmiechnął się więc na powitanie.

- Cóż to chcą rozwikłać młodzi Sherlockowie tym razem? Ktoś tam zgubił kota czy też pracujecie nad jakąś większą sprawą?

- Tylko tak dużą, jak mie... - zaczął z przechwałką w głosie Pete.

Jupiter nadepnął mu na nogę, wywołując okrzyk bólu przyjaciela.

- Przepraszam - powiedział Jupiter jakby nigdy naci uśmiechnął się do historyka. - Nie mamy żadnej sprawy, pomagamy tylko Bobowi zebrać materiały do pracy szkolnej o rodzinie Alvarów.

- Owszem, mamy kartotekę Alvarów - poinformował historyk.

- Może ma pan również raporty armii amerykańskiej, dotyczące don Sebastiana? - zapytał Jupiter niedbale.

Historyk miał obie kartoteki. Każda z nich była dużym kartonowym pudłem, wypełnionym papierami. Chłopcy patrzyli na nie zafrasowani.

- Kartoteka armii to tylko dokumenty z 1846 roku - powiedział historyk z uśmiechem.

- Ludzie w owych czasach bardzo lubili pisać raporty.

Chłopcy zataszczyli obie kartoteki w zaciszny kąt.

- Ja przewertuję kartotekę Alvarów, a wy dokumenty armii. Spisywano je po angielsku - zdecydował Jupiter.

Przez następne dwie godziny ślęczeli nad kartotekami, szukając jakiejś wzmianki o don Sebastianie Alvaro lub o mieczu Cortesa. Historyk, zajęty katalogowaniem nowych dokumentów, zostawił chłopców w spokoju. Nikt też więcej nie wchodził do cichych, pełnych ksiązek pokojów. Jedynym dźwiękiem były westchnienia Pete'a, wydawane po przejrzaniu kolejnego nudnego raportu.

Po dwóch godzinach przejrzeli obie kartoteki do końca i mogli zastanowić się nad tym, co znaleźli. Bob i Pete mieli trzy dokumenty, a raczej współczesne kopie oryginałów z 1846 roku, Jupiter zaś jeden pożółkły list.

- Jest to list, który don Sebastian napisał do swojego syna - wyjaśnił. - To wszystko, co udało mi się znaleźć, ale chyba to jest ważne. Don Sebastian pisał ten list w domu w Rocky Beach, gdzie trzymano go w areszcie. Jego syn był oficerem armii meksykańskiej i przebywał w mieście Meksyk.

- O czym w nim mowa, Jupe? - zapytał Pete.

- To w starodawnym hiszpańskim i ciężko mi odczytać - wyznał Jupiter kwaśno. - Zdaje mi się, że pisze tylko, że go amerykańscy żołnierze aresztowali i uwięzili w domu nad oceanem. Jest tu coś o odwiedzających i że wszystko inne jest w porządku, i że zobaczy swego syna w zwycięstwie nad najeźdźcą. To może być aluzja do ucieczki, ale nie mam pewności. List nosi datę 13 września 1846 roku i nie ma w nim ani słowa o mieczu.

- O rany, Jupe, przecież był w areszcie. Może użył jakiegoś szyfru, czy czegoś w tym rodzaju - powiedział Pete.

- Tak, może tak być - przyznał Jupiter. - Lepiej poprośmy Pica, żeby nam przetłumaczył list słowo po słowie, a potem...

- Nie wiem, czy to może mieć jakieś znaczenie - przerwał Bob, potrząsając jakimś wojskowym dokumentem. - To jest list napisany przez armię amerykańską do syna don Sebastiana, Josego, po jego powrocie do domu. Rząd Stanów Zjednoczonych wyraża ubolewanie z powodu tragicznej śmierci don Sebastiana w czasie próby ucieczki 15 września 1846 roku. Stwierdza się, że żołnierze nie mieli innego wyjścia, gdyż don Sebastian był uzbrojony i stawiał opór. Gdy go zastrzelono, wpadł do oceanu. Zameldował o tym sierżant James Brewster i potwierdzili to kapral William McPhee i szeregowiec S. Crane. Pełnili służbę w budynku, w którym więziono don Sebastiana.

- To wszystko wiemy. Pico nam mówił - powiedział Pete.

Jupiter jednak wyglądał na zaintrygowanego.

- Ten list nie potwierdza całej historii Pica. Co z...

- Do listu jest dołączony oryginalny raport sierżanta Brewstera - powiedział Bob pośpiesznie. - Podaje te same fakty co list, z tym że mówi także, że don Sebastian był uzbrojony w... miecz!

Jupiter i Pete byli zdruzgotani.

- Sierżant przypuszcza, że miecz został przemycony przez kogoś z odwiedzających - mówił dalej Bob. - Tak więc don Sebastian chyba naprawdę wpadł do morza wraz z mieczem.

Jupiter zapatrzył się w zamyśleniu na ulewny deszcz za oknem. Wreszcie zapytał:

- A co ty znalazłeś, Pete?

- Jest niewiele z tamtego samego czasu - odpowiedział Pete zniechęcony. - Tylko list do dowodzącego oficera, z 23 września, pytający o szczegóły ataku Meksykanów na garnizon w Los Angeles wcześniej tego ranka. Wymienia się tam pewnych ludzi, nieobecnych od 16 września bez uzyskania zwolnienia, i uznaje się ich za dezertersów. Nic o don Sebastianie ani o mieczu, więc...

Jupiter wyprostował się na krześle.

- Jacy to żołnierze, Pete?

Pete zajrzał do dokumentu i przeczytał:

- Sierżant Brewster, kapral McPhee i szeregowiec...

- Crane! - wykrzyknął Bob.

Dyżurny historyk z irytacją spojrział na nich z drugiego końca pokoju. Chłopcy nawet tego nie zauważyli.

- Brewster, McPhee i Crane! - powtórzył Jupiter z satysfakcją. - Nieobecni po 16 września 1846 roku.

- Aha, ale... - Pete otworzył szeroko oczy. - To ci sami trzej faceci, co zastrzelili don Sebastiana!

- Którzy twierdzili, że go zastrzelili - poprawił Jupiter.

- Myślisz, Jupe, że kłamali? - zapytał Bob.

- Myślę - powiedział Jupiter z zawziętością - że jest to bardzo podejrzany zbieg okoliczności: ludzie, którzy zameldowali o śmierci don Sebastiana, zdezerterowali zaraz następnego dnia i więcej ich nie widziano.

- Czy to znaczy, że ukradli miecz? - zapytał Pete.

- Możliwe. Ale jeżeli tak, to kto ukrył pokrowiec miecza i dlaczego? To wszystko jest

bardzo dziwne. Porozmawiajmy lepiej z Alvarami.

- Jest późno, Jupe. Muszę iść do domu na obiad - powiedział Pete.

- Ja też - podniósł się Bob.

- Pojedziemy więc do Alvarów na rowerach jutro z samego rana. Na kopiarce Towarzystwa Historycznego zrobili odbitki czterech dokumentów. Następnie podziękowali historykowi za pomoc i wyszli. Biegli całą drogę do składu złomu, gdzie Bob i Pete zostawili swoje rowery, i przemokli do suchej nitki po raz drugi w ciągu ostatniej doby.

Przed wejściem do składu stał czerwony, sportowy samochód.

- Woda chlupie jak zwykle! - zawołał zza kierownicy Chudy Norris.

- Tak, w twojej głowie - odparował Pete.

Chudy poczerwieniał.

- Przyjechałem oddać wam przysługę i ostrzec, żebyście się trzymali z daleka od tych Alvarów.

- To pogrożka? - zapytał Jupiter.

- Twój ojciec nie dostanie ich rancza! - wybuchnął Pete.

- Jak mu chcecie przeszkodzić? - zapytał drwiąco Chudy.

- Mamy zamiar znaleźć... - zaczął Pete i otrzymał kopniaka od Jupitera.

- Wymyślimy coś, Chudy.

- Myślcie szybko! - Chudy roześmiał się antypatycznie. - To ranczo będzie w tydzień nasze, i tyle! Alvarom szykuje się niedługo duży kłopot, więc lepiej trzymajcie się z daleka i nie wtykajcie waszych nosów w sprawy mojego taty!

Odjechał z impetem i piskiem opon. Chłopcy stali w strugach deszczu i z niepokojem patrzyli za odjeżdżającym. Chudy był okropnie pewny siebie.

Rozdział 6

Zła nowina

W sobotę rano Jupiter wstał wcześniej, mimo że deszcz wciąż padał. Niebawem jednak okazało się, że wizytę u Alvarów trzeba odłożyć na później. Tak Bob jak i Pete mieli jakieś domowe zajęcia. Jupiter popełnił duży błąd - z powodu deszczu pozostał w domu. Ciocia Matylda dopadła go i zagoniła do pracy.

- Nie będziesz mi się obijał z powodu byle deszczu! - pokrzykiwała gromko.

Wzdychając i notując sobie w pamięci, że nigdy więcej nie należy dać się przyłapać w sobotę w domu, choćby szalał tajfun, Jupiter sortował przez całe rano rupiecie w zadaszonej części składu. W południe puszczono go na drugie śniadanie, które zjadł szybko i wysłiznął się do Kwatery Głównej. Mieściła się w starej, zdezelowanej przyczepie kempingowej, dawno zapomnianej pod stertami złomu, w jednym z narożników składu.

Do Kwatery przybyli wkrótce Bob i Pete i wszyscy trzech spiesznie wsiedli na rowery. Jechali szosą lokalną w deszczu, ubrani w płaszcze nieprzemakalne. Jupiter zaopatrzył się w mapę, na wypadek gdyby pobłądzili u podnóża wzgórz. Minęli ruiny hacjendy Alvarów i bez kłopotów odnaleźli małą uprawę awokado sąsiada, Emiliana Paza.

Dom Pazów był to stary, drewniany budynek z dużą stajnią, za którą stały dwie małe chaty. Gdy zajechali, Diego rąbał w deszczu drzewo koło jednej z chat.

- Czy Pico jest w domu?

- Jest w chacie - powiedział Diego. - Znaleźliście...?

Jupiter pierwszy wszedł do małej chaty, złożonej z dwóch izb i kuchni. Pico rozniecał właśnie ogień w kominku. Podniósł się, żeby przywitać chłopców.

- Ach, nasi detektywi - uśmiechnął się. - Chcecie opowiedzieć, co zdziałaliście?

Jupiter powtórzył, co profesor Moriarty sądzi o pokrowcu miecza.

- Niemal na pewno jest pokrowcem miecza Cortesa - zakończył.

- I don Sebastian wcale nie został zastrzelony podczas ucieczki - zawołał Pete.

- Istnieje przynajmniej taka możliwość - skorygował pochopnego kolegę Bob.

Jupiter pokazał braciom Alvaro kopię listu do Josego Alvaro i kopie raportu sierżanta Brewstera o śmierci Sebastiana Alvaro i raportu o dezercji sierżanta Brewstera, kaprała McPhee i szeregowca Crane'a.

- A więc? Co zmieniają te dokumenty? - zapytał Pico. - Powiedziano nam, że don Sebastian został zabity, i nie mamy powodu w to wątpić. Raport sierżanta donosi, że don

Sebastian miał ze sobą miecz, gdy wpadł do morza. To dokładnie to samo, co komendant jankesów powiedział w swoim czasie mojej rodzinie.

- A nie wydaje ci się podejrzane, że ludzie, którzy złożyli raport o ucieczce i zastrzeleniu twego prapradziadka, następnego dnia zdezerterowali z wojska? - zapytał Jupiter.

- Gdyby to dotyczyło jednego z nich, można by myśleć o przypadku. Ale wszyscy trzej?

- W porządku - powiedział Pico. - Sprawa wygląda więc tak, jak zawsze myślałem. Miecz nie przepadł w oceanie. Ci trzej ukradli go przed zabiciem don Sebastiana. Następnie napisali raport, zdezerterowali i znikli wraz z mieczem.

- To możliwe - zgodził się Jupiter. - Ale co z pokrowcem? Kto ukrył go w pomniku? Można mieć pewność, że zrobił to don Sebastian, i tylko z jednego powodu: żeby ukryć miecz przed Amerykanami. Tyle że nie wiadomo dlaczego oddzielił miecz z pochwą od pokrowca.

- Pokrowiec mógł zostać ukryty przez osobę, która przemycała miecz do don Sebastiana - zauważył Pico.

- To następna podejrzana sprawa - powiedział Jupe. - Po co przemycać cenny miecz, w gruncie rzeczy, w ręce wroga? Jeśli don Sebastian potrzebował broni, dlaczego nie dostarczono mu pistoletu? Nie zdołałby zbyt dobrze walczyć zabytkowym mieczem, pokrytym klejnotami.

Pico wzruszył ramionami.

- Nie wiemy na pewno, czy były na nim klejnoty.

- No tak, ale posłuchajcie teraz, co ja myślę o tamtych zdarzeniach - mówił Jupiter. - Amerykanie istotnie zaarrestowali don Sebastiana po to, żeby się dostać do miecza Cortesa... Tak, pamiętam, co powiedział profesor Moriarty - zwrócił się do Boba, gdy ten zaczął oponować. - Ale żołnierze Fremonta mogli być równie chciwi, jak żądni przejęcia kontroli nad miejscowymi przywódcami. Ci ludzie z Rocky Beach mogli z łatwością usłyszeć o legendarnym mieczu don Sebastiana. Dalej, przypuśćmy, że don Sebastian ukrył miecz w posągu. Gdy uciekł z aresztu, sierżant Brewster i jego dwaj kompani poszli za nim. Postanowili spróbować zagarnąć miecz dla siebie, sfabrykowali więc historię o strzelaniu, by zataić to, co zaszło naprawdę. Zdezerterowali i puścili się na poszukiwanie don Sebastiana i miecza. Don Sebastian obawiał się, że mogą oni znaleźć miecz, wyjął go więc i schował w jakieś inne miejsce. Zostawił w pomniku pokrowiec, być może dla zmylenia tropu.

- I co się stało z don Sebastianem? - zapytał Pico.

- Nie wiem - powiedział niemrawo Jupiter.

- Niedużo wiesz - Pico potrząsnął głową. - Wszystko, co powiedziałaś, jest czystym

przypuszczeniem. Nawet jeśli masz częściowo rację i mój prapradziadek uciekł żywy, nie wiemy, gdzie ukrył miecz i jak go znaleźć.

- A list don Sebastiana, Jupe? - przypomniał Bob.

Jupe skinął głową i szybko wręczył list Picowi.

- Czy możesz przetłumaczyć, Pico? - zapytał i zwrócił się do Boba:

- Zapisz tłumaczenie.

Pico studiował list don Sebastiana.

- Znam to - powiedział. - Mój dziadek często to odczytywał, szukając tropu zaginionego miecza, ale nigdy niczego nie znalazł. Następnie głośno tłumaczył:

- Zamek Kondora, 13 września 1846. Mój drogi Jose, mam nadzieję, że masz się dobrze i spełniasz swój obowiązek Meksykanina. W naszym biednym mieście są jankesi i zostałem zaaresztowany. Nie mówią mi dlaczego, ale podejrzewam, he? Jestem więźniem w domu Cabrilla, blisko morza i nie pozwalają nikomu odwiedzić mnie ani nawet rozmawiać ze mną. Reszta rodziny ma się dobrze i wszystko jest bezpieczne. Wiem, że wkrótce spotkamy się w naszym zwycięstwie!

Bob popatrzył na to, co zapisał.

- To zdanie, że podejrzewa, dlaczego go aresztowano... Chyba myślał, że Amerykanie chcieli zabrać jego miecz, tak jak mówił Jupe?

- A "wszystko jest bezpieczne"?! - wykrzyknął Pete. - Być może don Sebastian mówi, że miecz jest bezpiecznie ukryty!

- Niech zobaczę - Jupiter wziął od Pete'a notes. - Możliwe, że obaj macie rację. Nie jestem pewien. Jestem natomiast pewien, że sierżant Brewster kłamał w swoim raporcie.

- Co ci daje tę pewność? - zapytał Pico.

- W swym raporcie sierżant Brewster stwierdza, że don Sebastian uzbrojony był w miecz, który prawdopodobnie przemycili mu odwiedzający. Ale do don Sebastiana nie dopuszczano żadnych odwiedzających, nie mogli więc przemycić miecza! Brewster zmyślił to, żeby uprawdopodobnić swoją historię, że miecz przepadł.

Pico studiował list.

- Tak, widzę, ale wciąż...

Z dworu dobiegł głośny huk, trzask, a potem odgłos toczących się polan. Wreszcie tupot oddalających się stóp.

- Hej ty! Stój! - krzyknął ktoś.

Detektywi i Alvarowie wybiegli z chaty. Zdążyli jedynie zobaczyć konia galopującego po lewej stronie, za stajnię. Na podwórzu stał stary, niski człowiek o białych

włosach.

- Ktoś stał pod twoim oknem, Pico, i podsłuchiwał! - zawołał. - Wyszedłem porozmawiać z tobą i go zobaczyłem! Kiedy mnie usłyszał, uciekł i przewrócił się o tę stertę polan. Pobiegł za stajnię, trzymał tam konia.

- Widział pan, kto to był? - zapytał Diego.

Stary człowiek potrząsnął głową.

- Nie, Diego, moje oczy już nie takie jak dawniej. Mężczyzna albo chłopiec, nie umiem powiedzieć.

- Pan moknie, don Emiliano - powiedział Pico z szacunkiem należnym starszemu człowiekowi. - Proszę wejść do środka.

W chacie Pico posadził staruszka blisko ognia i przedstawił mu chłopców. Emiliano Paz uśmiechnął się do nich.

- Proszę pana, czy on stał tam długo? - zapytał Jupiter.

- Nie wiem. Dopiero co wyszedłem z domu.

- Jak myślisz, Jupe, kto to był? Po co podsłuchiwał pod oknem Alvarów? - pytał Bob.

- Nie wiem, ale ciekaw jestem, czy słyszał naszą rozmowę o mieczu Cortesa.

- To by było źle, Jupe? - zapytał Pete.

- Wydaje mi się, że pan Norris i jego ludzie nie chcieliby, żebyśmy znaleźli cenny miecz - powiedział Jupiter posępnie. - Wczoraj Chudego bardzo interesowało, co robimy.

- Nie sądzę, żeby to miało znaczenie, Jupiterze - odezwał się Pico. - Nawet jeśli twoje przypuszczenia są słuszne, wciąż nic nie wiemy, gdzie może być miecz i czy w ogóle istnieje.

- Jestem pewien, że don Sebastian wiedział, że ci trzej żołnierze chcą się dostać do miecza, i schował go - oświadczył Jupiter z uporem. - I jestem pewien, że zostawił swemu synowi jakiś trop. Jeśli nie w tym liście, to gdzie indziej. Ale powinna być poszlaka w tym liście. Był więźniem, znajdował się w niebezpieczeństwie i musiał pomyśleć, że to może być jedyna okazja doniesienia Josemu, gdzie może znaleźć miecz.

Wszyscy ponownie przeczytali list. Pico i Diego oryginał, detektywi zapisane przez Boba tłumaczenie.

- Jeśli tu jest jakiś szyfr, to ja go na pewno nie widzę - powiedział Pete.

Pico potrząsnął głową.

- To zwykły list, Jupiterze. Po hiszpańsku też nie znajduję niczego, co mogłoby być poszlaką czy szyfrem.

- Może poza tą wzmianką, że wszystko jest bezpieczne - dodał Diego.

- Jupe? - Bob nagle coś zauważył. - Nagłówek u góry, nad datą. Zamek Kondora. Co

to jest? Wiesz może, Pico?

- Nie - Pico był zaintrygowany. - Myślę, że miejscowość. W tamtych czasach, a nawet dzisiaj, ludzie często umieszczają na początku listu miejsce, z którego piszą. Miasto, hacjendę, dom.

- Ale don Sebastian pisał list w domu Cabrilla - powiedział Bob.

- A jego własnym domem była wasza hacjenda - dodał Jupiter. - Czy kiedykolwiek nazywano ją Zamkiem Kondora?

- Nie, to była zawsze hacjenda Alvarów - odparł Pico.

- Więc dlaczego napisał Zamek Kondora?! - wykrzyknął Pete. - Bo to może być jakieś specjalne miejsce, o którym wiedział Jose! Poszlaka!

Jupiter rozłożył swą mapę. Wszyscy pochylili się nad nią. W końcu Jupiter westchnął i usiadł.

- Nie ma Zamku Kondora - powiedział smętnie. Wtem zerwał się. - Czekać! To jest współczesna mapa! W 1846 roku...

- Ja mam starą mapę - odezwał się Emiliano Paz. Staruszek wyszedł z chaty. Wszyscy czekali niecierpliwie. Wreszcie wrócił ze starą, pożółkłą mapą. Pochodziła z 1844 roku i miała napisy hiszpańskie i angielskie. Pico z Jupiterem odczytywali ją uważnie.

- Nic. Nie ma Zamku Kondora - powiedział Pico.

- Nie - przyznał Jupiter.

Pico był przygnębiony i zły.

- Mówiłem, że to głupoty! Nie ocalimy naszego rancza, karmiąc się złudzeniami. Nie, musimy znaleźć lepsze...

Emiliano Paz odezwał się smutno:

- Być może nie masz innego wyjścia, Pico. Przykro mi, ale przyszedłem ze złymi wiadomościami. Opóźniasz się ze spłatą długu hipotecznego. Dla mnie to dużo pieniędzy, a wkrótce muszę spłacić własne długi. Pożyczyłem ci moje całe pieniądze, a teraz, kiedy wszystko, co masz, to spalona hacjenda, nie będziesz mógł mi ich oddać. Pan Norris zaproponował mi wykupienie twojej hipoteki. Przyszedłem ci powiedzieć, że niedługo będę musiał mu ją sprzedać.

- To o tym mówił wczoraj Chudy - szepnął Pete.

- Dziękuję, że przyszedł pan do mnie, don Emiliano - powiedział Pico. - Co ma być, to będzie. Pan ma własną rodzinę na głowie.

- Tak mi przykro. Czy zaszczycisz mnie i zostaniesz tutaj?

- Oczywiście, don Emiliano. Jesteśmy przecież przyjaciółmi - odparł Pico.

Stary mężczyzna skinął głową i wyszedł wolno. Pochylony szedł w deszczu przez błotniste podwórze. Pico spoglądał za nim przez chwilę, po czym także opuścił chatę. Chłopcy usłyszeli, że wziął się do rąbania drzewa.

- Już po wszystkim - powiedział Diego bezradnie.

- Nie, nie jest po wszystkim! Znajdziemy miecz Cortesa! - Jupiter powiedział to z pełnym przekonaniem.

- Znajdziemy! - zawtórował mu Bob.

- Mogę się założyć, że znajdziemy! - zawołał Pete radośnie. - My... my... Rany, Jupe, co zrobimy?

- Jutro dotrzemy do wszystkich możliwych starych map - oświadczył pulchny przywódca zespołu. - Zamek Kondora to zapewne hasło, które pomoże nam rozwiązać zagadkę. Jeśli będzie trzeba, przestudiujemy wszystkie stare mapy w Rocky Beach!

- A ja wam pomogę! - zawołał Diego.

Czterej chłopcy uśmiechnęli się do siebie.

Rozdział 7

Stara mapa

W niedzielę rano deszcz przeszedł w mżawkę. Diego pożyczył rower i płaszcz nieprzemakalny od Pazów i przyjechał do miasta. Koło południa spotkali się z Jupiterem przed Towarzystwem Historycznym.

- Bob szuka w bibliotece, a Pete'owi tato załatwił zezwolenie na wgląd w mapy w Urzędzie Miejskim - wyjaśnił Jupiter.

- Znajdziemy Zamek Kondora. Czuję to! - powiedział Diego.

Weszli spiesznie do środka. W cichych, wyłożonych książkami pokojach siedzieli przy stołach ludzie, czytając i studiując, dyżurny historyk był zajęty. Skierował jednak chłopców do pokoju map, mówiąc:

- Był tu ktoś jeszcze przejrzeć papiery Alvarów. Wysoki, szczupły chłopiec. Interesowało go, z których dokumentów zrobiłeś odbitki, Jupiterze. Oczywiście nie powiedziałem mu!

- Chudy! - wykrzyknął Jupiter, gdy znaleźli się z Diegiem poza zasięgiem słuchu innych. - Doprawdy, niepokoi go, co też robimy.

- Ponieważ wie o waszych dotychczasowych sukcesach, boi się, że i dla nas znajdziecie skarb - powiedział Diego.

- Mam nadzieję, że znajdziemy. Ale nie mamy dużo czasu.

Chłopcy byli sami w pokoju map. Odszukali niemal pięćdziesiąt map z okresu około roku 1846, niektóre całego stanu, inne tylko Rocky Beach i okolic. Nie znaleźli Zamku Kondora.

- To jest mapa samego rancza Alvarów - powiedział Jupiter.

- Popatrz, jakie wtedy było duże - zauważył Diego ze smutkiem.

- Ale Zamku Kondora nie ma.

- I to już wszystkie mapy z czasów don Sebastiana.

- W porządku, przejrzymy każdą mapę Rocky Beach, niezależnie od czasów, z jakich pochodzi - Jupiter nie dawał za wygraną.

Było niewiele współczesnych map i tylko kilka sprzed 1840 roku. Na żadnej z nich nie zaznaczono Zamku Kondora. Nie pozostawało im nic innego, jak zaniechać poszukiwań i wrócić do Kwatery Głównej w składzie złomu.

- Może Bob albo Pete coś znajdą - powiedział Jupiter z nadzieją.

Poprowadził Diega do Kwatery głównym wejściem, czyli przez wielką rurę, biegnącą pod olbrzymią stertą złomu, aż pod klapę w podłodze przyczepy kempingowej.

- Nazywamy to Tunelem Drugim - wyjaśnił, gdy czołgali się z Diegiem przez rurę. - Mamy także inne wejścia, ale z tego korzystamy najczęściej. Tamte przydają się na czarną godzinę.

- Rany! - wykrzyknął Diego z podziwem, gdy wgramolił się do przyczepy. Obejrzał wszystko uważnie: biurko, telefon, maszynę do pisania, akta, urządzenia elektroniczne, ciemnię, klatki dla ptaków, gipsowe statuetki i wszystkie inne pamiątki i narzędzia, które chłopcy zgromadzili w czasie swej pracy.

- To wspaniałe!

- Myślę, że jesteśmy odpowiednio wyekwipowani - powiedział Jupiter z małą przechwałką. - Wszystko to sami zebraliśmy lub zmagistrowaliśmy.

- Nic dziwnego, że z taką łatwością wyświetlacie zawile tajemnice!

- Nie zawsze z łatwością. Sam widzisz, jak trudno nam rozwiązać zagadkę miecza Cortesa - powiedział Jupiter zaszępiony.

- Pewnie Bob albo Pete coś znajdą - pocieszył go Diego.

Czekali niecierpliwie, a Diego krążył po wnętrzu Kwatery, oglądając dokładnie każdą rzecz. Nie mógł wyjrzeć na zewnątrz, ponieważ małe okna były zawalone złodem, skrywającym przyczepę. Jupiter siedział ze zmarszczonym czołem, a wyraz jego okrągłej twarzy niewiele się różnił od ponurego popiersia Alfreda Hitchcocka, stojącego za nim na szafce. Wreszcie kłapa w podłodze podniosła się i wszedł Bob.

- Nic! - oświadczył odpowiedzialny za dokumentację i analizy i opadł na krzesło, z równie jak Jupiter posępną miną. - W bibliotece przejrzałem każdą książkę o tym rejonie.

Gdy wreszcie Pete wychynął spod klapy, pozostałym wystarczyło jedynie spojrzeć na wyraz jego twarzy.

- Jeśli "Zamek Kondora" w ogóle coś znaczy, to tylko don Sebastian i Jose wiedzieli co - powiedział.

- Jesteśmy w ślepym zaułku - podsumował Bob.

Diego był bliski łez.

- Nie rezygnujcie, chłopcy! My...

Pete wyprostował się czujnie.

- Ciii! Słuchajcie!

Przez dłuższy czas było cicho. Potem usłyszeli wszyscy - niewyraźny grzechot metalu na zewnątrz. Dobiegł ponownie z innej strony, a następnie dał się słyszeć odgłos stukania.

- Ciii - szepnął Jupiter, kładąc palec na ustach.

Grzechot dochodził teraz z jeszcze innej strony.

- Ktoś tam grzebie w złomie - powiedział Bob. - Ktoś, kto domyśla się, że tu jesteśmy.

- Czy ktoś szedł za któryś z was? - zapytał Jupiter.

- Za mną nie - szepnął Bob.

- Ja... ja nie jestem pewien. Spieszyłem się i nie sprawdziłem - powiedział Pete.

Rozgrzebywanie i opukiwanie stert złomu trwało jeszcze parę minut. Później zaległa cisza.

- Zobacz, Bob - szepnął Jupiter.

Bob podszedł cicho do wszystkowidzącego, domowej roboty peryskopu, który wystawał nad dachem przyczepy. Z zewnątrz wyglądał jak zwykły kawał starej rury, sterczącej ze sterty złomu. Bob popatrzył przez okular.

- Idzie przez plac - powiedział. - To ten rządca Cody! Wciąż się rozgląda. Teraz wychodzi ze składu. Nie ma go, chłopaki!

Bob odszedł od wszystkowidzącego.

- Musiał śledzić jednego z nas. Chciał zobaczyć, co robimy. Jupe, czy sądzisz, że to on podsłuchiwał wczoraj u Emiliana Paza?

- Tak podejrzewam - odpowiedział Jupiter w zamyśleniu. - Chudy i ten Cody zdają się bardzo interesować naszymi poczynaniami. Ciekaw jestem, czy mają jakiś inny powód, poza tym, że chcą pomóc panu Norrisowi w przejściu rancza Alvarów.

- Może wiedzą coś o mieczu i chcą go sami znaleźć! - wykrzyknął Diego.

- To możliwe.

- Jeśli wiedzą coś, to jest to już więcej, niż my wiemy - powiedział Pete.

Jupiter kiwnął głową ze smutkiem.

- Byłem pewien, że znajdziemy starą mapę, z której dowiemy się, co to jest Zamek Kondora.

- Może potrzebna nam stara indiańska mapa i stary Indianin do odcyfrowania jej - zaśmiał się Pete.

- Szalenie zabawne - burknął Bob. - Żarty nie pomogą nam...

- Pete! - wykrzyknął Jupiter. - Myślę, że trafiłeś w sedno!

- O rany, to był tylko taki dowcip. Nie musisz...

- Nie - przerwał mu Jupiter - ja to mówię serio! To może być wyjście! Oczywiście, ale byłem głupi!

- Jakie wyjście? - Pete wciąż nie pojmował.

- Prawdziwie stara mapa! Gdyby don Sebastian użył nazwy, którą każdy w 1846 roku mógł znaleźć na mapie, Amerykanie wpadliby na to! Wiedział, że przeczytają list, umieścił więc nazwę z mapy tak starej i unikalnej, że tylko on i Jose mogli do niej dotrzeć. Nawet nie pomyślałem, żeby poprosić historyka o naprawdę stare mapy, które są zbyt cenne, żeby leżeć po prostu w pokoju map. Chodźcie, chłopaki! Wracamy do Towarzystwa Historycznego!

Przezołgali się na łeb, na szyję przez Tunel Drugi. Na jego końcu sprawdzili uważnie, czy nie obserwuje ich Cody ani ktokolwiek inny. Następnie popędzili do swych rowerów, z Jupiterem na czele.

Gdy wyjeżdżali ze składu, z drugiej strony ulicy zagrzmiało wołanie:

- Jupiter!

Na progu domu Jonesów stała ciocia Matylda, mocno rozgniewana.

- Gdzieżeś to był, łobuzie! Zapomniałeś o przyjęciu urodzinowym dziadka Mateusza? Za piętnaście minut musimy wyjść! Chodź tutaj i przebierz się w porządne ubranie! Z kolegami zobaczysz się innego dnia.

- Och, nie! - jęknął Jupiter. - Zapomniałem! Dziś są osiemdziesiąte urodziny dziadka. Rodzina urządza przyjęcie na jego cześć na drugim końcu Los Angeles. Nie mogę się od tego wykręcić i na pewno wrócimy późno. Musicie popracować beze mnie.

- Jupiter! - w głosie cioci Matyldy pobrzmiwało groźne ostrzeżenie.

Jupiter pomachał smutno ręką na pożegnanie i przeszedł na drugą stronę ulicy.

- Co teraz? - spytał Pete.

- Idziemy do Towarzystwa Historycznego, oczywiście - odpowiedział Bob, przejmując dowodzenie.

Po minucie zapomnieli już zupełnie o Jupiterze, podnieceni nową perspektywą.

Dyżurny historyk zamyślił się na chwilę po wysłuchaniu ich prośby.

- Prawdziwie stara mapa? Tak, mamy jedną w naszej kolekcji unikalnych dokumentów. Jedna z najwcześniejszych, z 1790 roku. Jest tak delikatna, że rzadko przynosimy ją tu, do światła, i pokazujemy.

- Bardzo pana prosimy, czy pozwoli nam pan ją obejrzeć? - nalegał Bob.

Historyk zawahał się i w końcu skinął głową. Poprowadził ich na zaplecze i otworzył znajdujące się tam drzwi. Weszli do pokoju bez okien, w którym utrzymywano stałą temperaturę i wilgotność. Wszystkie dokumenty przechowywano w szklanych gablotach lub na półkach za szkłem. Historyk sprawdził coś w katalogu, po czym odemknął szufladę i wydobyl szklaną kasetę, płaską i długą. Leżała w niej prymitywna, stara mapa, narysowana brązową kreską na grubym, pożółkłym papierze.

- Proszę, żebyście nie próbowali nawet wyjmować jej spod szkła - powiedział.

Chłopcy pochylili się.

- Tu - wskazał Diego z zapartym tchem. - Po hiszpańsku: Zamek Kondora!

- Jest! - Bob nie posiadał się z radości.

- Wprost na naszym ranczu, jeśli ta kręta linia oznacza rzekę Santa Inez - powiedział

Diego.

- Na co czekamy!?! - wykrzyknął Pete.

Podziękowali zdziwionemu historykowi i pobiegli do swych rowerów.

Rozdział 8

Zamek Kondora

Deszcz ustał, ale ciemne chmury wisiały wciąż nisko nad górami, gdy detektywi i Diego jechali drogą przez rancho Alvarów. Zmierzali w kierunku starej tamy, gdzie niedawno zmagali się z pożarem poszycia. Poniżej tamy, w miejscu, gdzie droga zataczała łuk wzdłuż wyschniętego strumienia i pasma wzgórz, Diego zatrzymał się.

- Jeśli dobrze odczytałem mapę, Zamek Kondora jest skalnym szczytem na końcu tego ostatniego pasma - powiedział. - Santa Inez przepływa zaraz po jego drugiej stronie.

Ukryli rowery w zaroślach przy drodze i przedarli się przez gęste poszycie nad brzeg głębokiego wąwozu, którym płynął strumień. Tama, niewidoczna stąd, znajdowała się na lewo od nich, poza niskim, pokrytym zaroślami wzniesieniem, które zamykało strumień.

Chłopcy spojrzeli w górę, na szczyt wysokiego wzgórza po drugiej stronie strumienia. Na lewym końcu jego grzbietu, zaraz nad ostro opadającym ku niskiemu wzniesieniu zboczem, sterczała wysoka skała.

- To musi być to! - powiedział Diego. - Dokładnie tak, jak pokazuje mapa.

- Jak to się teraz nazywa? - zapytał Pete, gdy zbiegli do błotnistego strumienia i zaczęli piąć się na wzgórze.

- O ile wiem, nie ma nazwy - odpowiedział Diego.

Wysoki grzbiet załamywał się i dzielił na dwie części; niższa, stanowiąca dwie trzecie grzbietu, opadała łagodnym stokiem, pokrytym dużymi okrągłymi głazami i krzewami; wyższa część miała stok stromy i niemal wyłącznie skalisty, bez roślinności. Chłopcy dyszeli mocno, gdy wspięli się na wyższy odcinek i stanęli na gigantycznej skale, która zwieńczała długą grań.

- Zamek Kondora - powiedział Bob z przejęciem.

Z wielkiej skały rozciągał się daleki widok, tylko na północy wznosiły się góry. Chłopcy widzieli tamę i rzekę poza nią, ze zwęglonym poszyciem po obu jej stronach.

- Woda przybiera powyżej tamy i przecieka już trochę przez nią - powiedział Diego. - Jeśli deszcz nie ustanie, będziemy mieli na dole prawdziwą rzekę.

Bob wskazał niskie wzniesienie u stóp wzgórza.

- Patrzcie, jak to wzniesienie oddziela strumień od rzeki i tamy. Gdyby go tam nie było, mielibyśmy drugą rzekę.

Chłopcy rozglądali się dokoła. Na zachodzie widać było drogę i głęboki strumień,

który biegł na południe, aż po ruiny hacjendy, odległe niemal o milę. W kierunku południowym ciągnęły się dalsze pasma wzgórz. Daleko za nimi chłopcy mogli wypatrzyć Rocky Beach i ocean, ciemny tego pochmurnego dnia. Po drugiej, wschodniej stronie grani płynęła Santa Inez, zataczając łuk na południowy wschód. Za korytem Santa Inez rozciągał się płaski, zielony teren i mogli dostrzec odległe o parę kilometrów zabudowania i korral rancza Norrisów. Droga, biegnąca przez ranczo Norrisów, wznosiła się z południa ku tamie na północy i następnie znikła w górach.

- Ciekaw jestem, dlaczego nazwali to miejsce Zamkiem Kondora - odezwał się Pete. - Nie widzę żadnych kondorów.

- No i dobrze! - zaśmiał się Bob. - Kondor to rodzaj sępa!

- Może nazwa wzięła się stąd, że ma się tu widok z lotu ptaka - powiedział Diego.

- Prawdopodobnie - zgodził się Bob. - Ale mniejsza teraz o nazwę. Jesteśmy tu, żeby szukać miecza Cortesa! Jak myślicie, gdzie ukrył go don Sebastian?!

- Musi być gdzieś jakaś kryjówka - odpowiedział Pete. - Jama, szczelina w skale, może nawet jaskinia. Szukajmy, chłopaki!

Rozpierzchli się po szczycie skały, wkrótce jednak stwierdzili, że nie było w niej ani jamy, ani szczeliny. Skała była gładka niemal jak marmur. Zdeptali każdy jej centymetr i obmacali strome zbocza, jak daleko mogli sięgnąć. Skała była absolutnie jednolita.

- Nikt niczego nie mógł schować w takiej skale! - powiedział Pete. - Spróbujmy niżej, na stokach.

Bob skinął głową.

- Okay, Pete. Weź stronę od rzeki, my z Diegiem zejdziemy od strony strumienia.

Chłopcy opuścili się ze skały i podjęli poszukiwania. Pete powoli schodził w dół nad sączącą się rzeką, zataczając coraz szersze półkola. Znalazł kilka obluzowanych okrągłych głazów, ale nie było tam żadnych jam czy szczelin, żadnej bezpiecznej kryjówki dla miecza.

W końcu dał za wygraną i obszedł wzgórze od północy, by odnaleźć przyjaciół. Bob i Diego też już niemal skończyli przeszukiwać drugą stronę.

- Po prostu nie ma tu żadnej dziury czy szczeliny, w której dałoby się cokolwiek schować - rzekł Bob.

- Może don Sebastian miecz zakopał - powiedział Diego.

- Nawet mi tego nie mów! - jęknął Pete. - Musielibyśmy przekopać całe wzgórze. To by trwało w nieskończoność!

- Nie sądzę, Diego, żeby don Sebastian go zakopał - powiedział z wolna Bob. - Jeśli teoria Jupitera jest słuszna i don Sebastian zdołał zbiec i ukryć miecz, nie miał na to wiele

czasu. Postaw się w jego położeniu. Wiedział, że jest w niebezpieczeństwie i nie wiadomo, czy uda mu się powrócić, żeby samemu wykopać miecz. Wiedział, że Jose może nie wrócić przez lata, i wiedział, że sierżant Brewster i jego kompani są już prawdopodobnie na jego tropie. Jeśliby zakopał miecz, musiałby wyraźnie oznaczyć miejsce dla Josego, bo inaczej ten nigdy by go nie znalazł. A jeśliby to zrobił, sierżant Brewster mógł zobaczyć znaki i domyślić się, co oznaczają. - Bob potrząsnął głową. - Nie, jestem pewien, że don Sebastian nie zakopał miecza. Schował go gdzieś w pobliżu Zamku Kondora, w miejscu, którego by się z pewnością domyślił Jose. W miejscu, na którego przygotowanie nie traciłby czasu i którego nie musiał oznaczać.

- Ale co to za miejsce? - Pete rozglądał się dokoła.

- No, jesteśmy niemal pewni, że miecza nie ma na tym wysokim grzbiecie przy Zamku Kondora - powiedział Bob. - Myślę, że skała stanowi tylko punkt orientacyjny, znak wskazujący na właściwe miejsce. Musi być w pobliżu jakieś miejsce, do którego don Sebastian i Jose często chodzili. Diego, czy jest gdzieś...

- Może to tama? Była tu wtedy - podsunął Diego.

- Tama? - powtórzył Bob. - Dlaczego by nie?

Diego poprowadził ich wzdłuż zbocza i brzegiem wzgórza przez niskie wzniesienie. Biegło w górę aż po lewy narożnik tamy. Przez jej centralną furtę lała się cienkim strumieniem woda, opadając do koryta rzeki o dziesięć metrów niżej. Chłopcy zbiegli ze wzniesienia i opuścili się do koryta rzeki, nie bacząc na mokre nogi. Przebadali całe czoło tamy do wysokości, do której tylko zdołali sięgnąć. Była zbudowana z setek, może tysięcy niewielkich okrągłych kamieni, dopasowanych do siebie i uszczelnionych rodzajem zaprawy wapiennej. Żaden kamień nie był obluzowany, nie było w niej żadnych dziur czy szczelin.

- Solidna jak stal - powiedział Pete.

- Moja rodzina zleciła zbudowanie jej miejscowym Indianom prawie dwieście lat temu - powiedział Diego.

- Jak widać, nie zostawili żadnej szczeliny na schowanie miecza - zauważył Bob. - W każdym razie nie tu na spodzie. Jeśli jest jakaś szczelina wyżej, trzeba by drabiny, żeby do niej sięgnąć, a don Sebastian prawdopodobnie nie miał drabiny. Ale zajrzyjmy od góry.

Wdrapali się z powrotem na wzniesienie, grzęznąc w rozmiękłym od deszczu gruncie, i wspięli się na tamę. Miała górą około dwóch metrów szerokości i zbudowano ją z takich samych okrągłych kamieni. Tu były jednak liczne dziury i szczeliny i chłopcy rozdzielili się, żeby je zbadać. Pół godziny później dali za wygraną.

- Jeśli miecz jest ukryty w tamie, musimy ją rozebrać, żeby go znaleźć - powiedział

Pete ponuro.

- Don Sebastian nie miał czasu na zrobienie skomplikowanego schowka - przypomniał Bob. - Chyba można powiedzieć, że miecza nie ma w tamie, co oznacza, że jesteśmy w ślepej uliczce. Trzeba wpaść na jakiś inny pomysł.

- Ale jaki? - spytał Pete. - Przekopaliśmy już te wojskowe dokumenty, a don Sebastian napisał w tym okresie tylko jeden list.

- Był człowiekiem o dużym znaczeniu i musiał mieć w okolicy wielu przyjaciół - rozważał Bob. - Być może ktoś mu pomagał lub może widziano go tego dnia. Musimy znaleźć coś, z czego dowiemy się więcej o tym, co robił lub nawet, co mówił.

- Och, to było tak dawno - powiedział Diego z powątpiewaniem.

- Tak, ale w tamtych czasach nie było telefonu i ludzie pisali dużo listów i zawierali w nich dużo wiadomości. Wielu prowadziło pamiętniki albo dzienniki. Może była nawet wtedy gazeta. Jestem pewien, że znajdziemy niezłe materiały w...

- Wiem - westchnął Pete. - Wracamy do Towarzystwa Historycznego. O rany, praca detektywa może być naprawdę nudna.

Bob roześmiał się.

- Większość starych papierów będzie pewnie po hiszpańsku, Pete, ominie cię więc ich czytanie. Ale możemy poczekać do jutra, żeby Jupiter mógł pomóc. Poza tym nie odrobiłem jeszcze lekcji.

Pete ponownie wydał jęk. Zupełnie zapomniało lekcjach. Przeszli przez tamę na stronę, po której biegła droga i gdzie zostawili rowery. Właśnie gdy schodzili z tamy, Pete zatrzymał się zaniepokojony.

- Diego? - zapytał nie spuszczać wzroku z czegoś po prawej stronie. - Czy na twoim ranczu ktoś ma cztery duże, czarne psy?

- Psy? - powtórzył Diego. - Ja nie...

- Widzę je - przerwał mu Bob z niepokojem.

W pewnej odległości zobaczyli cztery duże, czarne psy. Biegały po stronie rzeki Alvarów, powyżej rezerwuaru i poza wypalonym terenem. Dzikie, z wywieszonymi ozorami, szalały wśród drzew i gęstych zarośli.

- Ojej, wyglądają okropnie groźnie i... - zaczął Bob, gdy nie wiadomo skąd rozległ się przejmujący gwizd. Pete zawrócił na pięcie i wskazał na drugą stronę tamy.

- To sygnał! Biegiem przez tamę do tamtych drzew!

Psy pędziły w stronę tamy, z otwartymi paszczami, ukazując obnażone kły i czerwone jęzory. Chłopcy gnali przez tamę i dalej, przez kamienisty grunt ku odległym o około

pięćdziesiąt metrów starym dębom.

- To... za... daleko! - dyszał Bob.

- Nie... zda... żymy! - sapał Diego.

- Szybciej, chłopaki! - ponaglał Pete.

Diego obejrzał się.

- Pete! One płyną!

W dzikim pościgu za zdobyczą, cztery psy skoczyły do rezerwuaru, zamiast okrążyć go i pobiec krótszą drogą przez tamę! Płynęły szybko i wkrótce wypadły z wody i podjęły pościg za uciekającymi chłopcami. Zwłoka była jednak wystarczająca!

Chłopcy dopadli rzędu starych, poskręcanych dębów, wdrapali się czym prędzej na drzewa i siedzieli na grubych gałęziach, patrząc z góry na skaczące i ujadające psy.

Znaleźli się w pułapce!

Rozdział 9

Aresztowanie

Rozległ się ponowny ostry gwizd. Psy przestały warczeć i skakać i położyły się pod drzewami.

- Patrzcie! - zawołał Bob. - Chudy i ten rządcą Cody!

Przez tamę szli spieszenie ich szczupły nieprzyjaciel i gruby kowboj. Chudy szczyrzył zęby uradowany widokiem chłopców siedzących wysoko na drzewach. Zbliżyli się i Cody zawołał ostro na psy. Położyły się u jego stóp, czujne i drżące, gdy patrzył w górę na chłopców. Jego małe oczka błyszczały i uśmiechał się złośliwie.

- Zdaje się, żeśmy przyłapali intruzów. Te drzewa rosną na gruncie Norrisa.

- Twoje psy nas tu zagnały i ty wiesz o tym! - krzyknął Diego.

- A co wy i wasze psy robiliście na ziemi Alvarów?! - zawołał Pete zaczepnie.

Cody uśmiechnął się:

- Jak zamierzasz to udowodnić, chłopcze?

- Widzę tylko trzech intruzów na drzewach, na ziemi mojego taty - powiedział Chudy z niewinną miną.

- Kłopoty z intruzami, tak jak mówiłem szeryfowi. - Cody z uśmiechem skinął głową w stronę bitej drogi biegnącej przez ziemie należące do Norrisa, którą nadjechał samochód szeryfa. - Chyba teraz nam uwierzy.

Samochód szeryfa zatrzymał się. Szeryf i jego zastępca wysiedli i podeszli wolno do Cody'ego i Chudego.

- Co się tu dzieje? - zapytał szeryf.

- Mamy trzech intruzów, szeryfie - odpowiedział Cody. - Dzieciak Alvarów z kolegami. Mówiłem panu, że Alvarowie zachowują się, jakby to wszystko wciąż było ich ziemią! Pędzą na nasz grunt swoje konie, łamią płoty i rozpalają niedozwolone ogniska. Wie pan, jak niebezpieczne jest tu teraz ognisko.

Szeryf spojrział w górę na chłopców.

- Dobrze, chłopcy, zejście z drzew. Cody, trzymaj te psy.

Chłopcy zeszli, a Cody uspokajał warczące psy. Szeryf przyglądał się dwóm detektywom.

- Was dwóch znam, prawda? Pete Crenshaw i Bob Andrews z zespołu detektywistycznego! Wedle tego, co mi o was mówił komendant Reynolds, powinniście się

lepiej zachowywać. Wchodzenie bez zezwolenia na cudzą posiadłość to poważna sprawa.

- Nie zrobiliśmy tego umyślnie, proszę pana - powiedział Bob spokojnie. - Byliśmy na ziemi Alvarów, a te psy nas tu zagoniły.

- O, pewnie - prychnął Chudy. - Kłamią, szeryfie.

- Ty jesteś kłamcą, Chudy! - wybuchnął Pete.

- Szeryfie - kontynuował Bob - jeśli byliśmy na ziemi Norrisa, kiedy te psy nas goniły, jak się stało, że są kompletnie mokre? Nie pada teraz.

- Mokre? - szeryf popatrzył na psy.

- Tak - powiedział Bob stanowczo. - Mokre, ponieważ przepłynęły rezerwuar goniąc nas, a rezerwuar i całe wzgórze nad tamą są na ziemi Alvarów!

Cody poczerwieniał i odezwał się gniewnie:

- Co ich pan słucha, szeryfie. Psy zmoczyły się przedtem i tyle!

Szeryf spojrzał na niego twardo.

- No, Cody, te mokre psy podają w wątpliwość twoje oskarżenie. Mam nadzieję, że dowód rzeczowy, dla którego mnie tu zaciągnąłeś, będzie poważniejszy.

- Jest pewny - mruknął Cody. - Mam go w swoim wozie, tam niżej, na drodze.

- Jaki dowód rzeczowy? - zapytał Bob, gdy szeryf odszedł z Codym.

- Chciałbyś wiedzieć, co?! - wykrzywił się Chudy.

Chłopcy i Chudy stali pod dębem, czekając na szeryfa, i rzucali sobie wściekle spojrzenia. Szeryf wrócił sam piętnaście minut później, z wielką papierową torbą. Skinął ponuro głową w stronę Diega i detektywów.

- W porządku, możecie już iść, chłopcy. Nie wiem, kto tu mówi prawdę, ale ostrzegam Cody'ego, żeby trzymał psy na własnej ziemi. Teraz was ostrzegam: nie wałęsajcie się po cudzym terenie.

Diego i Pete otworzyli usta, żeby zaprotestować, ale Bob ich ubiegł.

- Tak, proszę pana, zapamiętamy tę przestrożę - powiedział i dodał od niechcenia: - Może nam pan powiedzieć, co jest w tej torbie?

- Nie twoja sprawa - warknął szeryf. - A teraz, wynoście się!

Trzej chłopcy odeszli z ociąganiem. Ostrożnie okrążyli psy i poszli z powrotem do tamy, a przez nią na drogę do swych rowerów. Gdy jechali drogą Alvarów do ruin hacjendy, lunął znowu ulewny deszcz.

Mijając ruiny zobaczyli Pica. Chodził wolno po wypalonych pokojach, jakby w poszukiwaniu czegoś, co mogło ocaleć z płomieni.

- Znalazłeś coś? - zawołał Pete.

Pico podniósł głowę przestraszony, a potem zakłopotany.

- Szukam miecza Cortesa - wyznał. - Przyszło mi na myśl, że może don Sebastian ukrył go w hacjendzie. Teraz, kiedy dom spłonął, miecz mógł zostać odsłonięty. Ale nie ma go tu - rozejrzał się po ruinach i kopnął ze złością leżącą na podłodze dachówkę.

- Za to jest Zamek Kondora! Znaleźliśmy go! - wykrzyknął Diego.

Opowiedzieli pokrótce o odkryciu starej mapy, dotarciu do Zamku Kondora i o swych poszukiwaniach na wzgórzu w pobliżu tamy. Początkowo oczy Pica zapaliły się, ale w miarę jak słuchał, gasły powoli.

- Co nam przyjdzie ze znalezienia Zamku Kondora? Nic! Ani o cal nie posunęliście się naprzód.

- Nie, to nieprawda - zaprotestował Bob - zrobiliśmy bardzo ważne odkrycie.

- Jakie, Bob? - zapytał Pico.

- Że don Sebastian istotnie chciał ukryć miecz dla swego syna Josego! Zamek Kondora jest zaznaczony tylko na bardzo starej mapie. Nie ma nic wspólnego z miejscem, gdzie przebywał wtedy don Sebastian, a więc umieszczenie go w liście ma sens jedynie jako znak. Znak mówiący Josemu, gdzie ma czegoś szukać, a jedynym przedmiotem wartym tego całego zachodu był miecz Cortesa!

- Być może - powiedział Pico. - Wciąż jednak...

Urwał na widok dwóch pojazdów, skręcających ostro na podwórze hacjendy. Pierwszy wjechał wóz Norrisa, za nim samochód szeryfa. Cody i Chudy wyskoczyli na podwórze.

- Tu jest! - krzyknął Cody.

- Nie dajcie mu uciec! - wtórował mu Chudy.

Szeryf wysiadł z samochodu.

- Mówiłem wam, żebyście to zostawili mnie. Nie ucieknie.

Szeryf trzymał znaną już chłopcom papierową torbę. Podszedł niespiesznie do Pica.

- Pico, muszę cię zapytać, gdzie byłeś w dniu pożaru leśnego poszycia.

- Gdzie byłem? - zmarszczył czoło Pico. - Jak wiesz, byłem przy pożarze. Wcześniej byłem z Diegiem w szkole w Rocky Beach.

- Tak, widziano cię tam. To było koło trzeciej po południu. Gdzie byłeś przedtem?

- Przedtem? Na ranczu. O co właściwie chodzi, szeryfie?

- Dowiedzieliśmy się, co wywołało pożar. Ktoś rozpałił ognisko na ranczu Norrisów, grubo przed trzecią. Nie wolno tego robić o tej porze roku, przy tym ognisko nie zostało należycie wygaszone. Płot Norrisów był złamany i...

- Znaleźliśmy ślady twoich koni! - wybuchnął Cody.

- Poszedłeś za nimi i wzniciłeś pożar! - wrzasnął Chudy.

Pico odpowiedział chłodno:

- Jeśli wasz płot jest połamany i nasze konie przechodzą na waszą ziemię, idziemy po nie. Tak postępują dobrzy sąsiedzi. Ale ja i moi przyjaciele nie rozpalamy bezprawnie ognisk!

Szeryf otworzył papierową torbę i wyjął z niej płaskie, czarne sombrero ze srebrnymi muszelkami.

- Rozpoznajesz ten kapelusz, Pico? - zapytał.

- Oczywiście, jest mój. Obawiałem się, że spłonął w pożarze. Cieszę się...

- Chciałeś powiedzieć, że miałeś nadzieję, że spłonął - wtrącił się Cody.

- Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć, panie Cody. Zrozumiano? - oczy Pico zapłonęły, gdy spojrzał na grubego rządcę.

- Pico, kiedy zgubiłeś kapelusz? - zapytał szeryf.

- Kiedy? - Pico zastanowił się chwilę. - Przy pożarze, przypuszczam. Ja...

- Nie - powiedział szeryf. - Przy pożarze nie miałeś kapelusza. Pamiętam. Strażacy, których pytałem, też to pamiętają.

- Wobec tego nie wiem, kiedy go zgubiłem.

- Pico, ten kapelusz został znaleziony obok ogniska, które wywołało pożar.

- Więc dlaczego się nie spalił?

- Pożar poszedł w przeciwną stronę. Ten kapelusz leżał na niespalonym gruncie, w pobliżu ogniska.

Zapadła cisza. Szeryf westchnął.

- Będę musiał cię aresztować, Pico.

Diego podniósł krzyk, ale Pico go uciszył. Skinął szeryfowi głową.

- Musisz robić, co do ciebie należy, szeryfie - powiedział spokojnie i odszedł w stronę samochodu szeryfa. - Zawiadom natychmiast don Emiliana - krzyknął do Diega.

- Wy dwaj musicie pojechać złożyć zeznania - zwrócił się szeryf do Cody'ego i Chudego.

- Oczywiście! - odpowiedział Cody.

- Z przyjemnością - dodał Chudy. Roześmiał się w twarz chłopcom i poszedł z Codym do ich wozu.

Detektywi i Diego patrzyli w osłupieniu za odjeżdżającymi samochodami. Diego miał łzy w oczach, gdy się odezwał:

- Pico nie mógł wznicić ognia!

- Nie, oczywiście, że nie - powiedział Bob. - Coś się nie zgadza w opowieści szeryfa, ale jeszcze nie wiem co. Wiem, że widziałem przedtem ten kapelusz. Ale kiedy i gdzie? Och, że też nie było z nami Jupitera!

Pete westchnął rozgoryczony.

- No, mamy teraz dwa problemy do rozwiązania. Musimy znaleźć miecz Cortesa i trzeba uwolnić Pica!

Rozdział 10

Nowe domysły

Diego odjechał do Emiliana Paza, a Bob i Pete pospieszyli z powrotem do Rocky Beach. Przez resztę dnia dwaj detektywi starali się dodzwonić do Jupitera, ale u Jonesów nikt nie odpowiadał. Tak jak przewidywał Jupiter, urodziny dziadka przeciągnęły się do późna. Bob i Pete zaniechali w końcu usiłowań i poszli spać.

Następnego rana, gdy Bob zszedł na dół na śniadanie, jego tato podniósł wzrok znad gazety.

- Widzę, że twój przyjaciel Pico Alvaro został aresztowany pod zarzutem wzniesienia pożaru - powiedział. - To bardzo poważne oskarżenie, Bob. Dziwię się. Alvaro jest doświadczonym ranczerem i nie powinien był popełnić takiego błędu.

- Nie zrobił tego, tato! Jesteśmy pewni, że szeryf się myli albo ktoś upozorował winę Pica, i udowodnimy to!

- Mam nadzieję, synu - powiedział pan Andrews.

Bob spałaszował szybko śniadanie i zatelefonował do Jupitera, aby złożyć mu relację z wczorajszych zajęć. Jupitera zirytowała wiadomość o aresztowaniu Pica.

- To oczywiście, że Pico nie wzniecił pożaru, i powinniście wiedzieć dlaczego! Ty sam, Bob, mogłeś powstrzymać szeryfa. Czy ty nic nie pamiętasz? Przecież widzieliśmy kapelusz Pica. - Jupiter był w złym humorze, bo ominęły go wszystkie emocje.

- O, bardzo dziękuję - Bob czuł się urażony. - Po prostu nie posiadam twojej fotograficznej pamięci. Kiedy więc widzieliśmy ten kapelusz?

- Ach, powiem ci w szkole - usłyszał denerwującą odpowiedź.

- Świetnie - powiedział i trzasnął słuchawką. Miał teraz równie zły humor jak Jupe.

Lecz przez cały dzień w szkole detektywi byli zbyt zajęci, by choć odezwać się do siebie. Bob i Jupiter odzyskali jednak dobre humory i pod koniec lekcji byli znów przyjaciółmi. Lekcje skończyły się wcześniej, chłopcom została więc większość popołudnia na kontynuowanie śledztwa.

- Czy ktoś widział dziś Diega? - zapytał Jupiter, gdy w strumieniach deszczu jechali rowerami do składu.

- Szukałem go, ale nie widziałem się z nim. Chyba nie mógł przyjść dziś do szkoły - odpowiedział Pete.

Diega rzeczywiście nie było w szkole. Spędził cały czas z Emilianem Pazem na

usiłowaniach znalezienia adwokata dla Pica. Kiedy detektywi zajechali do składu, czekał na nich pod Kwaterą Główną. Gdy tylko znaleźli się wewnątrz przyczepy, opowiedział im, co zaszło.

- Nie stać nas na prywatnego adwokata, więc zwróciliśmy się o pomoc do Publicznego Biura Obrońców. Powiedzieli, że sprawa nie wygląda dobrze dla Pica.

- Wiemy, że tego nie zrobił - powiedział ze złością Bob.

- Ale jak to udowodnimy? - Diego miał łzy w oczach. - Jak ocalimy teraz naszą ziemię? Pico nic nie może zrobić, będąc w więzieniu, i nie mamy pieniędzy na kaucję.

- Co to jest kaucja? - zapytał Pete.

- To pieniądze, które zostawiasz w sądzie jako gwarancję, że stawisz się na rozprawę, jeśli do czasu tej rozprawy zwolnią cię z więzienia - wyjaśnił Jupiter. - Jeśli zapłacisz kaucję, nie musisz czekać w więzieniu na przesłuchanie albo rozpoczęcie rozprawy.

- Sędzia ustalił wysokość kaucji dla Pica na pięć tysięcy dolarów - powiedział Diego.

- Pięć tysięcy dolarów! - wykrzyknął Pete. - Prawie nikt nie ma tyle pieniędzy!

- Nie musisz wpłacić całej sumy w gotówce - tłumaczył Jupiter. - Tylko około dziesięciu procent. Za resztę możesz zastawić nieruchomość, na przykład dom. Ale jeśli nie stawisz się na czas w sądzie, sąd zatrzymuje twoje pieniądze i nieruchomości. Jeśli stawisz się, dostaniesz z powrotem całą kaucję. Większość ludzi się stawia, nie chcąc popaść w jeszcze większe kłopoty.

Diego skinął głową.

- Pico by się stawił. Jest zbyt dumny, żeby uciekać. Ale i tak nie mamy na kaucję, ani pięciuset dolarów, których zażądał sędzia, ani domu pod zastaw za resztę.

- A wasze ranczo? - zapytał Pete.

- Na nim ciąży dług hipoteczny, nie możemy więc oferować rancza sądowi. Staramy się pożyczyć pieniądze od przyjaciół, ale na razie Pico musi zostać w więzieniu.

- Myślę, że ktoś na to liczył - odezwał się Jupiter ponuro. - To nie mógł być przypadek. Ten kapelusz w jakiś sposób skradziono i położono przy ognisku.

- Ale jak to udowodnić? - zapytał z rozpaczą Diego.

- Nawet nie wiemy, kiedy ostatnio Pico miał ten kapelusz - dodał Bob.

- Ależ wiemy - oświadczył Jupiter. - Pico miał swój kapelusz w ostatni czwartek, w dzień pożaru poszycia, około trzeciej po południu. Nie pamiętacie? Nosił go, kiedy spotkaliśmy się pod szkołą!

- Oczywiście, pewnie! - wykrzyknął Bob, uderzając się w czoło.

- Wobec tego Pico nie mógł zostawić kapelusza przy ognisku! Miał go przed trzecią, a

po trzeciej był z nami. Potem gasił pożar. Jeśli szeryf jest pewien, że Pico nie miał kapelusza przy pożarze, to znaczy, że zgubił go lub skradziono mu go tego dnia, w czasie między opuszczeniem szkoły a przybyciem na miejsce pożaru!

- Jupe? A jeśli Pico zgubił kapelusz w drodze do pożaru? - powiedział z wolna Bob. - Jechał na platformie ciężarówki. Może wiatr zerwał mu kapelusz z głowy i zaniósł w pobliże ogniska?

- Wiatr nie mógł zerwać Picowi kapelusza - powiedział Diego. - Kapelusz ma wiązanie pod brodą. Pico zawsze wiązał je mocno w czasie jazdy.

- Poza tym nie było wcale wiatru tego dnia. Dzięki temu pożar się nie rozprzestrzenił - dodał Pete.

- W każdym razie pożar został na pewno wzniecony przed naszym przyjazdem na ranczo - powiedział Jupiter. - Nie ma więc znaczenia, czy kapelusz zwiąło, czy nie. Oznaczałoby to tylko, że kapelusz dostał się w pobliże ogniska po rozpoczęciu pożaru.

- Szkoda, że nie możemy tego udowodnić - martwił się Bob. - My wiemy, że Pico miał kapelusz o trzeciej po południu, ale to jedynie nasze słowo przeciw słowom Cody'ego i Chudego.

- No, nasze słowo jest z pewnością coś warte - powiedział Jupiter z rozdrażnieniem. - Ale masz rację. Nie mamy żadnego realnego dowodu. Musimy go więc znaleźć. Musimy odkryć, co się stało z tym kapeluszem.

- Jak to zrobić, Jupe? - zapytał Pete.

- Myślę, że przede wszystkim trzeba porozmawiać z Pikiem. Zobaczymy, czy zdoła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni miał kapelusz. Musimy także dalej szukać miecza. Jestem przekonany, że Chudy z Codym wiedzą, że szukamy miecza lub czegoś cennego, co pomoże Alvarom utrzymać swoją ziemię, i aresztowanie Pica jest próbą przeszkodzenia nam!

- A więc znów wracamy do Towarzystwa Historycznego, szukać nowych informacji o don Sebastianie - powiedział Bob.

Pete jęknął.

- To będzie trwało sto lat!

- To nie będzie szybka praca - przyznał Jupiter - ale nie potrwa aż tak długo. Musimy się skoncentrować tylko na dwóch dniach: 15 i 16 września 1846 roku. Don Sebastian był więźniem do 15, kiedy uciekł i nikt go więcej nie widział. I zaraz następnego dnia, 16 września odkryto zniknięcie tych trzech żołnierzy. Ich również nikt więcej nie widział.

- To znaczy nikt, o kim byśmy wiedzieli - powiedział Bob. Pochylił się do przodu na krześle. - Jupe, myślałem o Zamku Kondora. Przyjęliśmy, że jest to wskazówka wiodąca do

miejsca ukrycia miecza. Ale być może jest to tym, czym powinno być: adresem don Sebastiana!

Jupiter potrzęsął głową.

- Adresem don Sebastiana był dom Cabrilla albo jego hacjenda.

- Niekoniecznie - powiedział Bob. - Chłopaki, pamiętam, co czytałem o człowieku, który znalazł się w podobnym położeniu. Był to Szkot, Cluny Mac Pherson. Kiedy Anglicy wkroczyli do górzystej Szkocji w 1745 roku i podbili Szkotów w bitwie pod Culloden, starali się zabić lub uwięzić wszystkich przywódców szkockich górali. Większość umknęła i zbiegła z kraju, ale nie Cluny, głowa klanu Mac Phersonów. Chociaż wiedział, że Anglicy go szukają, pozostał na miejscu.

- Co zrobił, Bob? - zaniepokoił się Diego.

- Żył w jaskini na swej własnej ziemi przez blisko jedenaście lat! Cały jego klan pomagał mu się ukrywać. Dostarczali mu jedzenie, wodę i ubranie i Anglicy nigdy nie odkryli, gdzie był, póki sam nie wyszedł z ukrycia, kiedy już nie groziło mu niebezpieczeństwo!

- Chcesz więc powiedzieć, że Zamek Kondora jest wskazówką, gdzie sam don Sebastian zamierzał się ukryć?! - wykrzyknął Pete.

Bob skinął głową.

- Pamiętasz, jak zdziwiło Pica, że nikt więcej nie widział don Sebastiana, skoro go nie zastrzelono i nie utonął w oceanie? Zastanawiał się, dokąd poszedł po ucieczce z więzienia. No więc ja myślę, że planował ukryć się na własnym ranczu, gdzieś w pobliżu Zamku Kondora!

- I jego przyjaciele musieli go karmić i pomagać mu! - zapalił się Jupiter. - Możesz mieć rację! Przeoczyłem tę możliwość. Jeśli jest prawdziwa, daje nam nowy materiał do szukania: jakieś wzmianki o ukrywaniu ubrań i jedzenia, o pomaganiu komuś! Wobec tego musimy poszerzyć zakres naszych poszukiwań. Na początek, założmy, aż do końca września 1846 roku.

- Och, cudownie - jęknął Pete. - Więcej roboty. Tylko tego było trzeba.

- Potrzebujemy każdej wskazówki, jaką tylko da się znaleźć - powiedział Jupiter. - Ale większość dokumentów będzie po hiszpańsku, musimy więc szukać tylko my dwaj z Diegiem.

- A co mamy robić Pete i ja? - zapytał Bob.

- Ty i Pete pójdziecie do więzienia i postaracie się, żeby Pico sobie przypomniał, co się stało z jego kapeluszem!

Rozdział 11

Wizyta w więzieniu

Więzienie w Rocky Beach mieściło się na najwyższym piętrze komendy policji. Można się tam było dostać windą z parteru budynku, ale korytarz, na lewo od głównego wejścia, zamknięty był zakratowaną furtką. Przed nią siedział za biurkiem policjant. Bob i Pete przystanęli zdenerwowani i poprosili o widzenie z Alvarem.

- Żałuję, chłopcy, ale wizyty są dozwolone po obiedzie. Chyba że jesteście jego adwokatami - policjant uśmiechnął się.

- Tak, jest naszym klientem - Bob starał się wyglądać godnie.

- Jesteśmy czymś w rodzaju prawników - dodał Pete.

- Dobra, chłopcy, nie mam czasu na zabawę.

- Jesteśmy prywatnymi detektywami - powiedział Bob szybko. - Chcę powiedzieć młodymi detektywami, a Pico jest naszym klientem. Musimy porozmawiać z nim o sprawie. To naprawdę ważne. My...

Policjant spojrzał groźnie.

- Dość tego! Wyoście się.

Chłopcom nie pozostawało nic innego jak odejść, gdy ktoś odezwał się za nimi:

- Pokażcie mu wasze karty, chłopcy.

Bob i Pete odwrócili się. Przed nimi stał uśmiechnięty komendant Reynolds. Bob okazał policjantowi przy biurku ich dwie karty. Ten czytał je wolno.

- Po co przyszlście, chłopcy? - zapytał komendant Reynolds.

Powiedzieli mu, a on skinął głową z powagą.

- Myślę, że w tym wypadku możemy nagiąć regulamin. Pico Alvaro doprawdy nie jest niebezpiecznym przestępcą, sierzancie, i detektywi mają prawo widzieć się ze swoim klientem.

- Tak, komendancie. Nie wiedziałem, że to pana przyjaciele - powiedział sierżant.

- Nie przyjaciele, lecz cywilni pomocnicy. Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, ile razy ci chłopcy nam pomogli.

Komendant uśmiechnął się znowu do Boba i Pete'a i odszedł, Policjant za biurkiem przycisnął brzęczyk. Z biura za kratą wyszedł inny policjant i otworzył furtkę. Chłopcy przeszli przez nią szybko i wzdrygnęli ale nerwowo, gdy zatrzasnęła się za nimi.

- Uff, szczęście, że jesteśmy tu tylko z wizytą - powiedział Pete.

Chłopcy poszli do windy, wjechali na najwyższe piętro i wyszli na długi, jasno oświetlony korytarz. Wzdłuż niego po jednej stronie widać było biurka, po drugiej otwarte kantory. W pierwszym po lewej więźniowie opróżniali kieszenie i zostawiali wszystkie rzeczy osobiste. W następnym kantorkie robiono im odciski palców, a w trzecim wydawano odzież więzienną, w którą przebierali się w szatni na końcu lewej strony korytarza. Naprzeciw szatni znajdowały się zakratowane drzwi z tabliczką "Pokój odwiedzin". Dalej, wzdłuż całej prawej strony korytarza stały biurka. Przy niektórych siedzieli policjanci i przesłuchiwali osoby, które zamykano w więzieniu.

- Tutaj, chłopcy - zawołał policjant za pierwszym biurkiem. - Andrews i Crenshaw? Prywatni detektywi?

Skinęli głowami, przełykając ślinę. Policjant napisał na maszynie, na odpowiednim druku, ich nazwiska i adresy. Następnie wystukał nazwisko więźnia, z którym chcieli się widzieć, podali też cel wizyty.

- Okay, stańcie tu pod ścianą.

Gdy stanęli, jak im kazano, inny policjant zrewidował ich szybko i z wprawą, czy nie posiadają broni lub innego przedmiotu, który pomógłby więźniowi w ucieczce. Pete cieszył się, że nie wziął dziś ze sobą swego wojskowego noża. Następnie pierwszy policjant zaprowadził ich pod zakratowane drzwi, otworzył je kluczem i wpuścił ich do środka.

Znaleźli się w długim, wąskim pokoju, przedzielonym wzdłuż niskim, szerokim kontuarem. Na nim umocowany był podwójny rząd trójściennych kabin. Kabin jednego rzędu otwierały się na stronę drzwi, przez które weszli, drugiego na przeciwległą ścianę, w której znajdowały się zakratowane drzwi, wiodące do więzienia. Siedzący w kabinach widzieli się ponad barierą sięgającą wysokości brody. Odwiedzający i więźniowie mogli więc widzieć się z ustawionych naprzeciw siebie kabin i rozmawiać, nie mogli jednak niczego sobie podać nad barierą, nie zwróciwszy uwagi dyżurującego policjanta.

Bob i Pete usiedli w jednej z kabin. Wkrótce drzwi po drugiej stronie otworzyły się i strażnik więzienny wprowadził Pica. Pico usiadł za barierą naprzeciw chłopców.

- Cieszę się, że przyszliście, ale niczego mi nie trzeba - powiedział cicho.

- Wiemy, że nie rozpalisz tego ogniska! - zawołał Pete.

Pico uśmiechnął się.

- Ja też to wiem. Niestety, szeryf tego nie wie.

- Ale my myślimy, że możemy to udowodnić - powiedział Bob.

- Udowodnić? Jak, chłopcy?

Powiedzieli mu, co przypomnieli sobie w związku z kapeluszem.

- Tak więc - mówił Bob - o trzeciej po południu pod szkołą w Rocky Beach wciąż nosiłeś kapelusz. Dopóki wszyscy nie przyjechaliśmy do hacjendy, nie mogłeś go zostawić koło ogniska na ranczu Norrisa. A wtedy pożar już się zaczął, wzniecony przez kogoś innego!

Picowi zabłyśły oczy.

- A więc mój kapelusz dostał się na ziemię Norrisów po wszczęciu pożaru! Wspaniale, chłopcy! Doprawdy, jesteście bardzo dobrymi detektywami. Tak, mój kapelusz musiał się tam znaleźć przypadkowo lub...

- Lub ktoś położył go tam celowo! - dokończył Bob.

- Żeby móc mnie fałszywie oskarżyć - skinął głową Pico. - Ale nie możecie udowodnić, że nosiłem kapelusz w szkole. To tylko słowa.

- Tak - przyznał Bob - ale znamy prawdę i teraz musimy tylko odkryć, jak kapelusz znalazł się koło ogniska.

- Musimy więc wiedzieć, gdzie go zostawiłeś - powiedział Pete. - Miałeś go w szkole i pamiętam, że nosiłeś go w składzie złomu. A na ciężarówce?

- Na ciężarówce? - Pico zmarszczył czoło. - Tak, wszyscy siedzieliśmy na platformie ciężarówki. Opowiadałem o mojej rodzinie. Być może... nie, nie jestem pewien. Nie pamiętam, żebym zdjął kapelusz ani żebym go nosił!

- Musisz sobie przypomnieć! - powiedział Pete z naciskiem.

- Myśl! - naglił Bob.

Lecz Pico tylko patrzył na nich bezradnie.

Diego westchnął ze znużeniem i przesunął aparat do odczytywania mikrofilmów na następną stronę starej gazety. Jupiter wysłał go tutaj do Biblioteki Publicznej w Rocky Beach, kiedy się dowiedzieli, że Towarzystwo Historyczne nie ma pełnego zbioru starych gazet. Diego przeglądał numery tygodnika, wydawanego w Rocky Beach w 1846 roku, z okresu dwu miesięcy. Był teraz przy czwartym tygodniu października. Jak dotąd, znalazł bardzo mało. Nic nie pisano o don Sebastianie, poza wzmianką o jego śmierci. Krótka relacja była wyraźnie oparta na raporcie sierżanta Brewstera i nie wносиła nic nowego.

Diego znowu westchnął i się przeciągnął. W czytelni panowała cisza, którą zakłócał jedynie szum deszczu za oknami. Zabrał się dla odmiany do małej sterty książek, leżących na stole obok niego. Były to dziewiętnastowieczne wspomnienia i pamiętniki miejscowych obywateli.

Diego otworzył pierwszą książkę i zaczął szukać zapisów z połowy września 1846 roku.

Jupiter zamknął kolejny, piąty, z przeczytanych dzienników i wsłuchał się w szum deszczu za oknem Towarzystwa Historycznego. Stare, ręcznie pisane dzienniki hiszpańskich osadników były fascynujące i Jupiter musiał sobie przypominać, że winien się ograniczyć jedynie do zapisów z okresu, w którym miała miejsce ucieczka don Sebastiana. Ale na razie, nawet zapiski z tych burzliwych dni września 1846 roku nie dały mu nic.

Zniechęcony, bez większej nadziei otworzył szósty dziennik. Wreszcie chociaż nie musiał się męczyć z odczytywaniem zapisów. Szósty dziennik pisany był po angielsku, przez podporucznika kawalerii w amerykańskiej armii najeźdźców Fremonta.

Jupiter odszukał strony z połowy września i zaczął szybko czytać.

Dziesięć minut później pochylił się nagle, podekscytowany, i raz jeszcze przeczytał uważnie stronę w dzienniku dawno zapomnianego podporucznika. Następnie zerwał się z miejsca, zrobił odbitkę, zwrócił stare dzienniki historykowi i wyszedł spiesźnie w deszcz.

W więziennym pokoju odwiedzin Pico ponownie potrzęsął głową.

- Nie mogę sobie przypomnieć, chłopcy. Wybaczcie.

- W porządku - powiedział Bob uspokajająco. - Przejdźmy to krok po kroku. A więc miałeś kapelusz pod szkołą. Jupiter pamięta to wyraźnie i myślę, że ja też. Teraz...

- Założę się, że Chudy i nawet ten Cody też pamiętają, tylko czy zechcą się przyznać - wtrącił Pete z goryczą.

- Nie zechcą - powiedział Bob. - Pete jest zupełnie pewien, że w składzie złomu wciąż miałeś kapelusz. Na ciężarówce mówiłeś nam o nadaniu ziemi Alvarom. Pamiętam, że wskazywałeś nam miejsca, nie trzymałeś więc kapelusza w ręce. Było wietrzno i chłodno, więc prawdopodobnie miałeś go dla osłony na głowie.

- Następnie przyjechaliśmy do hacjendy - podjął Pete. - Wysiedliśmy wszyscy i rozmawiałeś z wujkiem Tytusem o posągu Cortesa. Co potem, Pico? Czy może poszedłeś do domu i tam zostawiłeś kapelusz?

- No... - Pico myślał z natężeniem. - Nie, nie wchodziłem do domu. Ja... my wszyscy... czekaj! Tak, zdaje się, że pamiętam!

- Co?! - wykrzyknął Pete.

- Mów - naglił Bob.

Oczy Pica błyszczały.

- Wszyscy poszliśmy prosto do stajni obejrzeć rzeczy, które chciałem sprzedać panu Jonesowi. W stajni było mroczno i rondo kapelusza rzucało mi cień na oczy. Kapelusz przeszkadzał mi, więc go zdjąłem i... - Alvaro popatrzył na chłopców - powiesiłem na kołku

przy drzwiach! Tak, jestem pewien. Powiesiłem go w stajni i potem, gdy Huerta i Guerra krzyczeli “pożar”, wybiegłem wraz z wami i zostawiłem kapelusz w stajni!

- Więc tam powinien być, a nie obok ogniska na ranchu Norrisów - powiedział Bob.

- No, to znaczy, że ktoś go zwędził ze stajni, nim się zapaliła, i położył koło ogniska, żeby wrobić Pica! - wykrzyknął Pete.

- Ale wciąż nie mamy żadnego dowodu - powiedział Pico.

- Może znajdziemy jakiś dowód rzeczowy w stajni, jeśli nie wszystko się spaliło! - zawołał Bob. - Chodźmy, Pete, opowiedzieć wszystko Jupe'owi.

Chłopcy pożegnali się z więźniem i wyszli spiesznie.

Pojechali prosto z więzienia do Towarzystwa Historycznego i pędem wpadli do środka. Jupitera już tam nie było!

- Gdzie on mógł pójść? - zastanawiał się Pete.

- Nie wiem - Bob zagryzł wargi. - Mamy dwie godziny do zmroku. Dość czasu, żeby poszukać w stajni Alvarów dowodu na to, że ktoś skradł kapelusz Pica.

- Chodźmy więc - zdecydował Pete. - Może Jupe też tam poszedł z Diegiem.

Pobiegli z powrotem do swych rowerów. Pedalowali szybko, jadąc w ulewnym deszczu do spalonej hacjendy Alvarów.

Rozdział 12

Odkrycie w ruinach

Deszcz ustał w chwili, gdy Bob i Pete wjeżdżali na podwórze hacjendy. Szczerniałe ruiny były ciche i opustoszałe, wyglądały jak postrzępione szkielety budynków na jakimś polu bitwy. Na wzgórzu za hacjendą posąg bezgłowego konia wynurzał się z pędzonych wiatrem, niskich chmur, niesamowity i groźny. Jupitera i Diega nie było nigdzie widać.

- Może powinniśmy poczekać - zawahał się Pete.

- Skoro już tu jesteśmy, możemy się chyba rozejrzeć dokoła - powiedział Bob - zobaczymy, może uda się coś znaleźć.

Pete popatrzył na zapadłe ściany i zwalone krokwie starej stajni.

- Rany, co to za śmietnik! Od czego zaczniemy?

- Myślę - odparł Bob z wolna - że Jupe by powiedział: trzeba zacząć od początku.

Powinniśmy szukać wokół stajni czegoś, co ktoś mógł upuścić. Może też uda nam się znaleźć jakieś odciski stóp.

Pete skinął głową i rozdzielili się, obchodząc z dwóch stron korral przed stajnią. Nisko pochyleni, wpatrując się w każdy centymetr rozmokłej ziemi, zbliżali się powoli do drzwi stajni. Wielodniowy deszcz zmienił cały korral i podwórze w gliniaste błoto, gładkie i kleiste. Przygnęło do ich butów i wydawało przykry odgłos, gdy stawiali kroki.

Spotkali się przed czymś, co kiedyś było drzwiami stajni. Została z nich jedynie zwęglona futryna, skręcona i pochylona mocno.

- Na ziemi ani gałązki - westchnął Pete. - Błoto jest tak głębokie, że pewnie i tak pokryło wszystko mniejsze od skały.

- Nie sądzę, żeby tu było widać ślady nawet przed deszczem. Gliniasta ziemia jest bardzo twarda, kiedy jest sucha. Poszukajmy w środku - powiedział Bob.

Spalona stajnia stanowiła wewnątrz straszliwe kłębowisko opadłych z dachu belek, zwalonych ścian i przegród oraz poczerniałych szczątków setek wartościowych przedmiotów, które Alvarowie zamierzali sprzedać wujkowi Tytusowi. Dwie zewnętrzne ściany zawały się kompletnie do wewnątrz, z pozostałych dwóch zostały szkielety. Okna w stojących ścianach wyglądały jak otwarte rany. Po dwóch dniach deszczu zapach spalonych ruin był okropny. Niczego niemal nie można było rozpoznać. Chłopcy stali zagubieni, rozglądając się wokół.

- Czy my tu cokolwiek znajdziemy? - jęknął Pete. - Nie wiemy nawet, czego szukamy.

- Wszystkiego, co mogłoby nam dać jakąś wskazówkę, kto tu był i wziął kapelus

Pica - Bob starał się nie poddawać łatwo zniechęceniu. - Wiesz, co Jupe by powiedział: będziemy wiedzieć, co to jest, jak to zobaczymy!

- Świetnie, tylko jak znaleźć cokolwiek w tym rumowisku? I gdzie zacząć?

- Zaczniemy tam, gdzie kapelusz znajdował się ostatnio - zdecydował Bob, wskazując futrynę drzwi. Frontowa ściana była jedną z tych, które się oparły pożarowi. - Patrz, jest tu ten kołek, na którym Pico powiesił kapelusz.

- A raczej to, co zostało z tych kołków - mruknął Pete, ale poszedł za Bobem.

Trzy kołki przy drzwiach spaliły się do kikutów, ale wciąż były widoczne na poczerniałym słupku ściany. I właśnie pod nimi Bob i Pete zaczęli swe poszukiwania.

Podłogę pokrywały spopielala deski i gruz, chłopcy ledwo mogli się domyślić, co było czym. Znajdowali setki małych, połamanych i szerniałych okruchów, ale nie dostrzegli niczego, co mogło mieć jakieś znaczenie albo należało do kogokolwiek poza Alvarami.

Pete usiadł w końcu na leżącej na ziemi krokwi.

- Jeśli tu jest jakaś poszlaka, musiałaby być podpisana, żeby się dało ją znaleźć - powiedział.

- Zgadzam się z tobą - przytaknął Bob. - Jest tu tyle odłamanych kawałków...

- Czekaj, ktoś idzie - przerwał mu Pete. Wstał i pospieszył do drzwi. - To pewnie Jupe i Diego. Jupe... - szybko skoczył w tył, kryjąc się za osmoloną ścianą, i powiedział ostrym szeptem: - Bob! Nadchodzą trzej faceci! Obcy!

Bob przykucnął za stertą gruzu i wyjrzał zza niej.

- Idę do stajni! Nie podoba mi się ich wygląd. Chowajmy się! Szybko, tam, pod te belki! Biegiem!

Błyskawicznie i bezszelestnie przemknęli przez stajnię do miejsca, gdzie boczna ściana zwała się na kilka krokwi wspartych o ścianę frontową. Pod krokwiami utworzyła się mała, ciemna, trójkątna jama. Wczołgali się tam, położyli na ziemi i patrzyli ku wejściu. Ledwie oddychali, starając się nie robić hałasu.

Po chwili trzej mężczyźni weszli do stajni.

- Och, wyglądają szpetnie - szepnął Pete z niepokojem.

Trzej przybysze stanęli w progu i rozglądali się. Jeden był duży, czarnowłosy, z obfitym wąsem i parodniowym zarostem na mięsistej twarzy. Drugi - drobny, o wąskiej, szczerzej twarzy i kaprawych, małych oczkach. Trzeci - gruby i łysy, z wielkim, czerwonym nosem i złamanymi przednimi zębami. Wszyscy trzej byli brudni, wyglądali grubiańsko i ubrani byli jak kowboje-włóczędzy, w zniszczone dżinsy, ubłocone kowbojskie buty, robocze koszule i wytłuszczone, wytarte kowbojskie kapelusze. Szerokie ręce i twarze wyglądały,

jakby nie myto ich od miesiąca.

Żaden z nich nie miał pogodnej miny, gdy tak stali gapiąc się na zgliszcza.

- Nic tu nie znajdziem - powiedział mały chudy. - Jak tu co znajdziem, Cap?

- Trza znaleźć - powiedział duży czarnowłosy z wąsami.

- Nie ma sposobu, Cap - odezwał się wysokim, skrzekliwym głosem gruby. Potrząsał swą wielką głową w przód i w tył. - Nie ma sposobu, nie, panie.

- Zabierajcie się do roboty, słyszycie? - powiedział Cap. - Muszą tu gdzie być.

- Pewnie, Cap - zaskrzeczał gruby. Zaczął kopać zgliszcza, wpatrując się w podłogę wyczekująco, jakby to, czego szukali, miało się każdej chwili pojawić.

Mały, o wyglądzie szczura, chodził w kółko, zaglądając niezbyt uważnie to tu, to tam. Duży Cap krzyknął na niego grubiańsko:

- Schylże się, Pike, i szukaj porządnie, nie zrywasz stokrotek!

Chudy Pike łypnął na Capa, po czym schylił się niżej i zaczął dokładniej szukać. Cap odwrócił się do grubego.

- Ty też, Tulsa. Każdy weźmie jakąś część, dotarło?

Tulsa natychmiast opadł na czworaki i zaczął się czołgać w popiele, dotykając niemal podłogi swą tłustą twarzą. Cap i Pike przez chwilę patrzyli na niego z obrzydzeniem, po czym odwrócili się i zabrali się do szperania po obu stronach wykrzywionej framugi drzwi.

- Pewnyś, że tu się zgubiły, Cap? - zapytał Pike.

- Pewno, zem pewien. Musielim wyrwać rozrusznik tego dnia, żeby się stąd wynieść, nie? Trza było potem inny zmontować.

W swych poszukiwaniach któryś z mężczyzn dwukrotnie przeszedł tuż obok miejsca, gdzie wstrzymując oddech ukrywali się Bob i Pete. Wielki, czarnowłosy Cap był tak blisko, że mogli dotknąć jego butów. Pete przełknął ślinę i bezgłośnie wskazał wsunięty w but nóż o cienkim ostrzu i grubej rękojeści.

- Ja tam nie wiem - odezwał się po pewnym czasie chudy Pike. - Kto powiedział, że nie przypadły gdzie wcześniej?

- To jak by my tu przyjechali, idioto? - powiedział Cap z niesmakiem.

- Okay, to mogły wypaść na zewnątrz! - odszczeknął Pike.

Chudy człowiek przysiadł na krokwi, tuż nad Bobem i Pete'em! Wziął się do strugania opalonej szczapy nożem wyglądającym równie groźnie.

- Okay, może masz rację - ustąpił w końcu Cap. - I tak nie da rady znaleźć ich tu bez światła. Idziem popatrzeć, gdzie my wtenczas parkowali, jak nie znajdziem, pójdziem po jakie światło.

Chłopcy starali się nawet nie oddychać. Ale wreszcie Pike zerwał się i wraz z dwoma pozostałymi wyszedł spieszenie ze spalonej stajni. Bob i Pete nasłuchiwali jakiś czas bez ruchu. Słyszeli, jak trzech mężczyzn rozmawiają i kłócą się na błotnistym podwórzu. Czekali. Wreszcie na zewnątrz zaległa cisza. Ostrożnie wygramolili się spod zwałonej ściany i przemknęli do drzwi. Podwórze było puste. Bobowi błyszczały oczy, gdy zwrócił się do Pete'a:

- Nie wiem, kim oni są, ale czuję, że byli tu w dniu pożaru i prawdopodobnie mają coś wspólnego ze zniknięciem kapelusza Pica! Myślę, że zgubili kluczyki od samochodu.

- Tak to brzmiało - przyznał Pete. - Wyglądali jak kowboje. Może pracują dla pana Norrisa!

- Bardzo im zależy na znalezieniu tych kluczyków - powiedział Bob. - Jeśli ich nie znajdą, może to być dla nich niebezpieczne. Albo dla kogoś innego! Musimy ich poszukać, i to dobrze!

- Już żeśmy to robili. Ci faceci też nie mogli ich znaleźć.

- Nie szukali dokładnie. Poza tym teraz wiemy, czego szukać. Widziałem tam nadpalone grabie. Idź po nie! Zgrabimy gruz wokół kołków!

Pete znalazł grabie w kącie. Ich rączka była do połowy spalona, ale metalowa część wciąż nadawała się do użytku. Pete zaczął grabić popiół i gruz. Za każdym razem, gdy grabie uderzały o jakiś metal, pochylali się z Bobem podnieceni. Było im teraz łatwiej szukać, bo przejaśniło się i do pozbawionej dachu stajni wpadało więcej światła. Chmury rozdarły się i nad głowami chłopców ukazało się niebieskie niebo.

- Pete! - krzyknął wreszcie Bob, wskazując na podłodze coś błyszczącego w świetle.

Pete sięgnął grabiami. Dwaj chłopcy omal nie zderzyli się głowami, gdy równocześnie schylali się po przedmiot.

- Dwa kluczyki na łańcuszku ze srebrnym dolarem! - wykrzyknął Bob.

- Jest coś na nich? Jakiś znak, do kogo należą? - zapytał szybko Pete.

Bob przyjrzał się kluczykom.

- Nie, nie. Ale to na pewno kluczyki samochodowe i ci ludzie musieli ich właśnie szukać.

- Chyba że to kluczyki Pica. Albo może któregoś z jego przyjaciół.

- Hej! Wy dwaj!

Bob i Pete skoczyli jak oparzeni. W drzwiach stał gruby mężczyzna, nazwiskiem Tulsa, i przypatrywał się im. Przez chwilę zdawało się, że nie bardzo wie, co zrobić.

- Wiejemy tamtędy, za dom... - szepnął Pete.

Wybiegli na tyły zniszczonego budynku i dopadli rosnących za stajnią dębów. Potem, skacząc od drzewa do drzewa, dotarli do miejsca, skąd mogli zobaczyć podwórze hacjendy.

- Wy tam!

Duży, czarnowłosa mężczyzna, zwany Capem, stał koło ruin hacjendy i wymachiwał rękami w kierunku chłopców. Nagle z korralu wyszedł szczerowaty człowiek i zawołał do niego:

- Cap! Tulsa mówi, że te szczeniaki znalazły coś w stajni!

Chłopcy rozglądali się rozpaczliwie wokół. Byli odcięci od swych rowerów zostawionych na podwórzu hacjendy, a w pobliżu nie było miejsca, w którym można by się ukryć!

- Biegiem do grani! - syknął Pete.

Pognali w stronę wysokiego wzgórza, gdzie wystrzelał w niebo posąg na bezgłowym koniu!

Rozdział 13

Niebezpieczeństwo na ranczu

Po opuszczeniu Towarzystwa Historycznego, Jupiter pojechał do biblioteki odszukać Diega. Młodszy Alvaro siedział z ponurą miną.

- W starych gazetach jest mnóstwo o strzelaninach w kanionach w tym okresie, ale nie ma nic, co by mogło być związane z don Sebastianem - powiedział.

- Mniejsza z tym - odparł Jupiter z ożywieniem. - Myślę, że coś znalazłem! Bob i Pete skończyli już pewnie sprawę w więzieniu. Będą prawdopodobnie w Kwaterze Głównej. Chodź!

Chłopcy szybko jechali w deszczu do składu złomu. Jupiter poprowadził Diega inną niż dotąd drogą. Chciał uniknąć spotkania z ciocią Matyldą i wujkiem Tytusem, którzy pewnie zagoniliby go do jakiejś pracy. Zatrzymał rower pod płotem z tyłu składu, o jakieś piętnaście metrów od narożnika. Cały płot pokryty był malowidłami artystów z Rocky Beach. Jupiter przystanął przed dramatyczną sceną pożaru San Francisco w 1906 roku. Na malowidle, koło czerwonych płomieni ognia, siedział mały piesek.

- Nazwaliśmy tego pieska "Korsarz". Dlatego wejście nazywa się Czerwoną Furtką Korsarza - wyjaśnił koledze.

Jedno oko pieska było sękiem w desce. Jupiter ostrożnie wyciągnął sęk i sięgnął przez otwór, by zwolnić ukryty zatrzask. Trzy deski w płocie odchyliły się w górę i Diego z Jupiterem wśliznęli się do składu.

Zaparkowali rowery i ukrytym w stertach złomu pasażem przeczołgali się aż do płyty, która otwierała się wprost do Kwatery Głównej. Boba i Pete'a nie było.

- Prawdopodobnie wciąż jeszcze są w więzieniu - powiedział Jupiter. - Zaczekamy.

- Dobrze, ale co odkryłeś? - zapytał Diego.

Jupiter wyjął kartkę. Oczy mu zabłyśły.

- Podporucznik, który tu przybył z ludźmi Fremonta, prowadził dziennik. Znalazłem następujący zapis z 15 września 1846 roku: *Moje zmysły odmawiają mi posłuszeństwa. Obawiam się, że napięcie w czasie naszej inwazji odbiło się na stanie mojego umysłu. Dzisiejszego wieczoru zostałem w poszukiwaniu kontrabandy odkomenderowany do hacjendy don Sebastiana Alvaro. Zmierzchało właśnie, gdy zobaczyłem coś, co mogło być tylko wytworem obłąkanego umysłu. Na wzgórzu za rzeką, którą miejscowi nazywają Santa Inez, ujrzałem samego don Sebastiana Alvaro, który prowadził konia i wymachiwał swoim*

wspaniałym mieczem! Nim zdołałem podjąć próbę przejścia rzeki, zapadły kompletne ciemności i nie chcąc ryzykować utarczki w pojedynkę nocą, wróciłem do naszego obozu. Tam poinformowano mnie, że don Sebastian Alvaro został zastrzelony tego dnia rano, gdy próbował nam uciec! Cóż więc zobaczyłem? Widmo? Złudzenie? Czyżbym słyszał jakieś przypadkowe napomknienia o śmierci don Sebastiana i nie pamiętał o tym, dopóki hacjenda Alvarów nie wyzwoliła ich z mego zmęczonego umysłu? Nie potrafię powiedzieć.

- Ale don Sebastian nie został zastrzelony! - ożywił się Diego. - Więc ten porucznik rzeczywiście go widział! I widział miecz!

- Tak - potwierdził Jupiter z tryumfem. - Chyba udowodniliśmy teraz ostatecznie, że don Sebastian żył wieczorem 15 września i że po ucieczce miał ze sobą miecz Cortesa. Nic się nie stało umysłowi ani oczom porucznika. Jak tylko przyjdą Bob i Pete, pojedziemy zbadać miejsce, które opisał!

Ale minęło pół godziny, a Bob i Pete wciąż się nie pojawiali. Diego zaczął się denerwować.

- Może im się coś przydarzyło? - niepokoił się.

- To zawsze możliwe - stwierdził Jupiter ponuro. - Jednak jest bardziej prawdopodobne, że dowiedzieli się czegoś od Pica i poszli sami zbadać jakąś sprawę.

- Ale dokąd poszli?

- Biorąc pod uwagę, że ich zadaniem było wypytanie Pica, gdzie widział ostatnio swój kapelusz, przypuszczam, że poszli do waszej hacjendy. Chodźmy ich odszukać.

Wymknęli się z powrotem przez Czerwoną Furtkę Korsarza, wsiedli na rowery i pojechali, jak mogli najszybciej, do spalonej hacjendy. Deszcz ustał i niebo z wolna przejaśniało. Gdy przejeżdżali przez kamienny most, Santa Inez pod nimi płynęła pełnym nurtem i poziom wody był wysoki. Mijając wzgórze między rzeką a strumieniem, spojrzeli w górę na posąg Cortesa na wysokiej grani.

- Jupiter! Ten posąg! On... on się rusza! - krzyknął Diego.

Nacisnęli hamulce rowerów i przypatrywali się posągowi.

- Nie, nie rusza się - powiedział Jupiter. - Ktoś tam jest przy nim!

- Ktoś się chowa za posągiem!

- Jest ich dwóch! Teraz zaczęli biec!

- Biegną tutaj, w dół stoku!

- To Bob i Pete!

- Chodźmy!

Wsunęli rowery w zarośla przy drodze i pobiegli dalej. Bob i Pete ześlizgiwali się na

drogę na końcu długiego wzgórza.

- Znaleźliśmy dowód rzeczowy, Jupe! - dyszał Pete.

- A nas znaleźli trzech faceci! - sapał Bob.

- Jacy trzech faceci? - zapytał Diego, łapiąc oddech.

- Nie wiemy, ale właśnie nas ścigają!

- Wracamy na most! - wysapał Jupiter. - Schowamy się pod nim!

- Na pewno tam zajrzą, Jupe! - zaprotestował Bob.

- Tam, w dole drogi jest duża rura od drenu irygacyjnego! - zawołał Diego. - Biegnie do tego rowu i jest cała zarośnięta! Chodźcie!

Pędzili wzdłuż błotnistej, porośniętej zaroślami rowu. Diego rozgarnął gęste, kolczaste krzewy, odkrywając otwór ogromnej rury drenującej, która wychodziła ze zbocza wzgórza. Wtoczyli się do niej, nie bacząc na ciekącą w niej cienką strugą wodę deszczową, i zakryli na powrót otwór krzewami. Przyciśnięci do siebie, czekali w napięciu.

- Co za dowód rzeczowy znaleźliście? - szepnął Jupiter.

Bob i Pete opowiedzieli o kluczykach i przygodzie w stajni. Diego obejrzał kluczyki w mglistym świetle, jakie wpadało do rury.

- Mówili, że zgubili klucze i musieli wyrwać gniazdko rozrusznika jakiegoś samochodu - rozważał Jupiter. - Z tego wynika, chłopaki, że byli w stajni, zanim się spaliła. To oczywiste, że nie chcą, by ktoś znalazł klucze i dowiedział się, że tam byli. Możliwe, że oni właśnie ukradli kapelusze i podrzucili go koło ogniska!

- Ale kim są? - zapytał Pete ochryple.

- Nie wiem, muszą być jednak jakoś wmieszani w pożar i aresztowanie Pica. Ja... Ciii!

Wszyscy zamilkli. Ktoś biegł drogą! Chłopcy wypatrywali przez gęste krzewy i zobaczyli trzech kowbojów-włóczęgów! Trzej groźni mężczyźni, ponurzy i milczący, przebiegli koło nich.

- Nigdy ich przedtem nie widziałem - szepnął Diego. - Jeśli pracują u pana Norrisa, to od niedawna.

- Więc co tu robią? - zapytał Pete.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - odparł Jupiter.

- Ja tylko chciałbym mieć nadzieję, że już tu nie wrócą - powiedział Bob.

Chłopcy czekali, nasłuchując uważnie. Na drodze panowała cisza. Po następnych piętnastu minutach Jupiter westchnął nerwowo:

- Chyba któryś z nas musi wyjść i rozejrzeć się.

- Ja pójdę - powiedział Diego. - Ścigają Boba i Pete'a, nie mnie. I ja tu mieszkam,

więc nie będą podejrzliwi.

Szczupły chłopiec wysliznął się szybko, tak by nikt nie zauważył, skąd wyszedł. Wspiął się na drogę, skręcił w lewo, w stronę mostu i znikł im z oczu. W rurze Trzej Detektywi znowu czekali. Bob pierwszy usłyszał, że ktoś nadchodzi. Zaczął wysuwać się na zewnątrz.

- Czekaj! - szepnął Pete. - Może to nie Diego!

Czekali. Ktoś stanął na wprost rury.

- Okay, chłopaki, droga wolna.

Diego! Detektywi wysypali się z rury i Diego poprowadził ich z powrotem na most nad Santa Inez. Wskazał w kierunku gór. Daleko na północy, na ranchu Norrisów, trzej kowboje oddalali się polną drogą.

- Dali za wygraną - Diego uśmiechnął się. - Jupe, jesteśmy teraz mniej więcej w tym miejscu, w którym chcieliśmy coś sprawdzić.

- Co sprawdzić? - zapytali Bob i Pete równocześnie.

Jupiter opowiedział im o dzienniku porucznika i pokazał odblask.

- O rany! - wykrzyknął Pete. - Don Sebastian rzeczywiście uciekł! I musiał mieć ze sobą miecz Cortesa!

- Jestem pewien, że go miał, ale to, co porucznik napisał, nie pomoże nam w jego znalezieniu - powiedział Jupiter z westchnieniem.

- Ale napisał... - zaczął Diego.

- Nie mógł widzieć tego, co napisał - przerwał mu Jupiter. - W każdym razie nie tam... Popatrz, pisze, że wyszedł z hacjendy, to znaczy, że był po naszej stronie rzeki, czyli po stronie zachodniej. Patrzył na drugą stronę rzeki, a więc na wschód, mniej więcej z tego miejsca. Pisze, że widział wzgórze, ale kiedy się patrzy stąd, nie ma żadnych wzgórz po drugiej stronie rzeki!

Za wezbraną rzeką teren był płaski, daleko jak okiem sięgnąć.

- Pewnie - ciągnął Jupiter posępnie - musiał się pomylić. Albo w tym, gdzie był, albo w tym, co pamiętał, kiedy spisywał swój dziennik.

Chłopcy patrzyli na siebie zgaszeni.

- Ugrzęźliśmy w ślepych zaułku, chłopaki - powiedział Jupiter.

Zdeprymowani wrócili do swych rowerów i ruszyli w powrotną drogę do domu.

Rozdział 14

Alvarom czas ucieka

W nocy znów rozpadało się na dobre i lało przez cały następny dzień. Detektywi nie mieli czasu na rozmowy o mieczu Cortesa ani na podjęcie próby zidentyfikowania kluczyków samochodowych ze spalonej stajni. Po lekcjach przez całe popołudnie mieli dodatkowe zajęcia szkolne.

- Tak czy siak nie mamy żadnych nowych wskazówek - powiedział Pete smutno.

Diego odwiedził po południu Pica i pokazał mu klucze. Opisał bratu trzech kowbojów. Ale Pico nie rozpoznał kluczy i nie miał pojęcia, ani kim są trzej obcy, ani dlaczego interesowała ich spalona stajnia.

- Chyba że pan Norris ich najął, żeby nas zmusili do opuszczenia rancza - powiedział starszy Alvaro z goryczą.

Tego dnia po obiedzie Trzej Detektywi poszli raz jeszcze do biblioteki i do Towarzystwa Historycznego. Ponownie przejrzeni stare gazety, dzienniki, pamiętniki, wspomnienia i raporty armii Stanów Zjednoczonych. Ponownie odczytali też sfalszowany raport o śmierci don Sebastiana, doniesienie o dezercji sierżanta Brewstera i jego dwóch kompanów, zastanawiający list don Sebastiana, z Zamkiem Kondora w nagłówku, i ustęp z dziennika amerykańskiego porucznika, najwidoczniej nieścisty. Nie zdołali jednak znaleźć nic nowego, nic, co by wyglądało na ważne.

Deszcz padał przez całą noc i cały kolejny dzień. W regionie ogłoszono zagrożenie powodzią. Po szkole zarówno Bob, jak i Pete mieli jakieś zajęcia w domu. Diego poszedł znowu zobaczyć się z bratem, a Jupiter powłókł się znużony do Towarzystwa Historycznego kontynuować ciężką pracę detektywa.

Późnym popołudniem Bob i Pete spotkali się w Kwaterze Głównej. Zdjęli swe mokre płaszcze i w oczekiwaniu na Diega i Jupitera, skulili się przy małym elektrycznym grzejniku.

- Myślisz, Bob, że kiedykolwiek odnajdziemy ten miecz? - zapytał Pete.

- Nie wiem. Gdyby to się wszystko nie wydarzyło tak dawno... Jest pełno raportów o strzelaninie wśród wzgórz między lokalnymi Meksykanami i armią Stanów Zjednoczonych i pościgach, ale trudno powiedzieć, czy byli w to wmieszani don Sebastian albo ci trzej dezercerzy.

Z Tunelu Drugiego wyszedł Diego i wspiał się przez otwór w podłodze. Był jeszcze bardziej smutny niż przez ostatnie dwa dni. Pete i Bob patrzyli na niego zaniepokojeni.

- Czy coś się stało Picowi?! - zawołał Bob.
- Czyżby wpadł w jeszcze większe kłopoty? - zawtórował Pete.
- Nic mu się nie stało, ale sytuacja jest coraz gorsza. Dla nas wszystkich.

Nieszczęsny chłopiec zdjął kurtkę i usiadł obok detektywów przy rozpalonym grzejniku. Kręcił bezsilnie głową.

- Senor Paz sprzedał nasz dług hipoteczny panu Norrisowi.
- Nie mów! - jęknął Pete.
- Przecież obiecał czekać tak długo, aż... - zaczął Bob.

- To nie jego wina. Potrzebuje pieniędzy, a teraz Pico jest w więzieniu, więc nieprędko będziemy mogli zwrócić dług. Poza tym Pico musi mieć pieniądze na kaucję i na swoją obronę. Pico sam powiedział don Emilianowi, żeby teraz sprzedał hipotekę.

- Tak mi przykro, Diego - powiedział cicho Bob.

- Rzeczywiście, to wygląda beznadziejnie - odezwał się Pete. - Nie możemy odnaleźć miecza bez dalszych poszukiwań, a teraz zostało na nie niewiele czasu. Myślisz, że jak długo...

Za płytą, od strony Czerwonej Furtki Korsarza, rozległo się nagle dudnienie i szuranie. Jupiter wpadł do środka, mokry i zdyszany.

- Chudy biegł za mną! - wysapał. - Ale zmyliłem go i nie widział, jak się przekradałem przez Czerwoną Furtkę Korsarza.

- Dlaczego cię gonił? - zdziwił się Diego.

- Nie zatrzymałem się, żeby go o to zapytać - odpowiedział Jupiter bezmyślnie. - Może chciał tylko pogadać, ale ja wolałem dostać się tutaj bez tracenia czasu na gadanie z Chudym! Chłopaki, znalazłem...

Przerwał mu głośny łomot, jakby coś ciężkiego spadało na złom wokół przyczepy. Potem huknęło w innym miejscu składu, gdzieś w pobliżu. Z zewnątrz, wśród deszczu, dobiegł ich głos Chudego:

- Wiem, że jesteś tu gdzieś, Tłusciochu! Założę się, że wszyscy tu jesteście! Nie myślcie, że jesteście tacy mądrzy!

Znowu trzask! Chudy stał na zalanym deszczem placu i rzucał ciężkimi przedmiotami w sterty złomu. Wiedział, że detektywi są gdzieś ukryci, ale nie był pewien gdzie.

- Wcale nie jesteście tacy mądrzy, jak wam się wydaje, słyszycie?! - wrzeszczał. - Dobraliśmy się teraz do waszych meksykańskich kumpli, mądrule! W sobotę zabieramy ich ranczo, słyszycie?!

Czterej chłopcy w przyczepie patrzyli na siebie. Tylko Jupiter był zdziwiony. Nie

powiedzieli mu jeszcze, że don Emiliano sprzedał hipotekę.

- W sobotę koniec! - wydzierał się Chudy. - Nie ma sposobu, żebyście teraz pomogli tym przybłędom! Wszystko jedno, co tam teraz knujecie! Przegraliście tym razem, wielkie asy! - roześmiał się wrednie. - Miłych snów, tępaki! Miłych snów!

Przez jakiś czas jeszcze słyszeli oddalający się z wolna śmiech Chudego. Wreszcie jedynie deszcz bębnił o dach przyczepy.

Jupiter sapał ze złości.

- Ach, ten Chudy ze swoją nadętą pyszałkowatością! Chce, żebyśmy myśleli...

- Nie. Tym razem ma rację, Jupiterze - i Diego opowiedział Pierwszemu Detektywowi o sprzedaży hipoteki panu Norrisowi.

- W sobotę wypada nasza splata - mówił smutno. - Don Emiliano zgodziłby się na spłacenie części pożyczki, ale jeśli panu Norrisowi nie oddamy wszystkiego, może przejąć ranczo.

- Ano wydaje się, że pan Norris wygrał - powiedział Jupiter.

- Jupe! - wykrzyknął Bob.

- Nie zamierzasz chyba po prostu zrezygnować! - wybuchnął Pete.

- Nie... nie winię cię - wyjąkał Diego.

Jupiterowi błyszczały oczy.

- Powiedziałem, że wydaje się, że pan Norris wygrał! To może znaczyć, że nikt już nie będzie się starał nam przeszkodzić. Musimy maksymalnie wykorzystać czas, który nam został, a nie zostało go dużo.

- Nie mamy czasu i nie mamy żadnych informacji - mruknął Pete.

- Przeciwnie - oświadczył Jupiter. - Mamy dużo informacji, a raczej poszlak. Po prostu nie interpretowaliśmy ich dotąd właściwie. Znalazłem właśnie nowy dowód na to, że nasze spekulacje są słuszne - i wyjął z kieszeni papier. - Bob miał rację sugerując, że don Sebastian mógł myśleć równie dobrze o ukryciu siebie, jak swego miecza. Planował to i to zrobił. - Wręczył papier Diegowi.

- Jest po hiszpańsku, Diego, i nie jestem pewien, czy zrozumiałem dokładnie. Przetłumacz nam to na angielski.

Diego skinął głową.

- Przypuszczam, że to z pamiętnika. Datowane: 15 września 1846 roku. *Tej nocy do naszej małej grupy patriotów nadeszła wieść, że orzeł znalazł gniazdo. Musimy zaplanować, jak zaopiekować się naszym najszlachetniejszym ptakiem. Drapieżniki są wszędzie, to nie będzie proste, ale może teraz jest coś do zrobienia!* - Diego podniósł wzrok. - Myślisz Jupe,

że orzeł to don Sebastian? Czy ten zapis świadczy, że miejscowi patrioci umknęli i chcieli mu pomóc w ukrywaniu się?

- Jestem tego pewien - odparł Jupiter. - Pamiętnik należał do ówczesnego burmistrza tego miasta. Był Hiszpanem, przyjacielem Alvarów. A czytając pamiętnik dowiedziałem się, że w młodości nazywano don Sebastiana "Orłem".

- Ale co nam z tego przyjdzie? - zapytał Bob, oglądając hiszpański tekst. - Być może miałem rację i don Sebastian ukrył się tak, jak Cluny Mac Pherson, ale ten zapis nie mówi, gdzie się ukrył. Co jest dalej w pamiętniku burmistrza, Jupe? Może z tego coś dla nas wyniknie?

- Ten zapis był na ostatniej stronie pamiętnika. I nic więcej burmistrz nie napisał. Został zabity w walce z najeźdźcą parę tygodni później.

- No, a jeśli don Sebastian ukrył się na wzgórzach, to co się z nim stało? - powiedział Pete. - Może jego przyjaciele pomogli mu stąd uciec, zabrał ze sobą miecz i nigdy już tu nie wrócił!?

- To możliwe - przyznał Jupiter. - Mogło tak być, ale nie sądzę, żeby to się zdarzyło. Gdyby tak było, znaleźlibyśmy o tym jakieś wzmianki w pamiętnikach i wspomnieniach, które czytaliśmy. Nie, chłopaki, nie myślę, żeby don Sebastian uciekł na dobre. Myślę, że coś mu się stało tu, w górach, ale nie wiem co i nie sądzę, by ktokolwiek wiedział w tamtych czasach. Myślę, że to, co się stało z don Sebastianem, jest kluczem do całej tajemnicy.

- Jeśli nie wiedziano tego w tamtych czasach, to jak my się mamy dziś tego dowiedzieć? - zapytał Pete.

- My się dowiemy, ponieważ wiemy, gdzie miał zamiar się ukryć! - powiedział Jupiter. - Powiedział to nam, umieszczając Zamek Kondora w nagłówku swego listu. Jestem przekonany, że odpowiedź znajduje się gdzieś w pobliżu wielkiej skały. Jest tam coś, co przeoczyliśmy, i jutro po szkole pojedziemy i znajdziemy to!

Rozdział 15

Kryjówka

W czwartek, kiedy chłopcy wyszli ze szkoły, deszcz zelżał trochę i w krótkim czasie dojechali do spalonej hacjendy. Zachowywali czujność i rozglądali się wokół uważnie, czy nie pokażą się gdzieś trzej kowboje-włóczędzy.

Po całotygodniowym deszczu, bita droga w góry była jednym wielkim trzęsawiskiem. Zostawili więc rowery pod wątpliwą osłoną zwęglonych desek. Bob zabrał torbę rowerową z narzędziami i latarką elektryczną. Odpiął ją z roweru i umocował u paska spodni. Ruszyli w stronę tamy i wielkiej skały Zamku Kondora.

- Jeżeli droga rozmoknie jeszcze bardziej, popłyniemy z powrotem - mruknął Pete.

Kiedy to tylko było możliwe, schodzili z drogi przez zarośla, na skalisty grunt, żeby nie ubłocić się kompletnie. Gdy doszli bliżej wysokiego wzgórza z Zamkiem Kondora na szczycie, okazało się, że strumień, który trzeba było przebyć, żeby dostać się na wzgórze, jest zbyt głęboki. Musieli go więc okrążyć.

Większość zarośli została zmyta z miękkiego gruntu wzniesienia i chłopcy dotarli do wzgórza, grzęznąc w błocie. Także na samym wzgórzu, gdy wspinali się po niższej partii stoku, stopy im się zapadały.

Ze szczytu gigantycznej skały Zamku Kondora ukazał się wzbudzający grozę widok. Powyżej tamy rzeka Santa Inez przekroczyła daleko swe brzegi, rozlewając się po spalonym gruncie. Na samej tamie woda przelewała się nie tylko środkową furtką, ale ponad tamą na całej jej długości, tworząc wielki wodospad. Pod tamą rzeka pieniała się i biła o wzniesienie u stóp wzgórza na znaczną jego wysokość, po czym bystrym nurtem spadała ku lokalnej szosie i dalekiemu oceanowi.

Jupiter jednak nie zwracał uwagi na ten groźny widok. Rozglądał się wokół i głośno myślał:

- Gdzie mógłby się ukryć człowiek, zapewniając sobie schronienie, względne bezpieczeństwo i jako taką wygodę przez dłuższy czas? Mając przyjaciół, którzy by mu udzielili pomocy?

- Na pewno nie na tym wzgórzu - powiedział Pete. - Jużeśmy je przeszukali i nie znaleźli nawet szczeliny.

- Diego, czy w pobliżu są jakieś jaskinie? - zapytał Bob.

- Ja nie znam żadnej. Może gdzieś daleko w górach.

- Nie - Jupiter potrząsnął głową. - Jestem pewien, że kryjówka musi być blisko.

- Może nisza w tamie? - zastanawiał się Pete.

- Zabawne przypuszczenie - prychnął Bob.

- Być może jest tu gdzieś jakiś kanion, w którym można było ustawić namiot lub szalas? - zapytał Jupiter.

- Nigdzie nie ma czegoś takiego. Przeszedłem wiele razy te wszystkie wzgórza - odparł Diego.

- A może są tu jakieś domy? Zbudowane w tamtych czasach dla pracowników? - rozważał Bob. - Don Sebastian musiał mieć jakichś pracowników.

- Tak - przyznał Diego - ale wszystkie domy budowano niżej, blisko lokalnej szosy, na dobrej ziemi. Poza tym one już teraz nie istnieją.

- Diego? - zapytał Pete. - Dokąd prowadzi drugie odgałęzienie waszej drogi? Jedno prowadzi do tamy, a drugie?

- Głębiej w góry. Potem zatacza łuk i wraca do lokalnej szosy przez ziemię senora Paza.

Pete wskazał coś po drugiej stronie strumienia, w przeciwnym niż tama i rzeka kierunku.

- Czy ta ścieżka łączy się z rozwidleniem drogi?

- Ścieżka? - Jupiter zmrużył oczy, starając się zobaczyć, co wskazywał Pete.

- Aha. Tam. Odchodzi od drogi i okrąża wzgórze.

Wszyscy dostrzegli wąski szlak, wycięty w zaroślach i znikający w niskich dębach za zboczem wzgórza.

- Prawda, chata! - wykrzyknął Diego. - Zapomniałem o niej. Tam jest stara chatka zbudowana w dawnych czasach dla pędzących bydło kowbojów. Ale to tylko deski i blacha. Dawno tam nie byłem.

- Czy stała tam w czasach don Sebastiana? - zapytał Jupiter.

- O, tak. W każdym razie Pico mi mówił, że zawsze tam była jakaś chata, w dawnych czasach ceglana.

- Niemal ukryta, mało używana, ścieżka do niej widoczna jest z Zamku Kondora! - Jupiter wpatrywał się w przeciwległy brzeg strumienia. - To może być to!

Zeszli z gigantycznej skały i grzęznąc w rozmięklej ziemi ześlizgiwali się po niższym zboczach, po czym przecięli wzniesienie, na którym kończył się strumień.

Jupiter spojrzał nerwowo za siebie, na zalaną tamę.

- Zakładam, że tama wytrzyma - powiedział. Niewysportowany przywódca nie był

dobrym pływakiem.

- Zawsze wytrzymała - powiedział Diego. - Oczywiście, jest bardzo stara.

- To naprawdę pocieszające - mruknął Pete.

Po drugiej stronie błotnistej drogi chłopcy weszli na wąski szlak, który biegł między niskimi dębami i przez gęste zarośla. Rzadko z niego korzystano, był więc bardzo zarośnięty. Przecinał skaliste zbocze i wiódł do małego kanionu, wtulonego między dwa większe wzgórza. W ten pochmurny dzień wąwóz był ciemny i cienisty.

- Tędy, chłopaki! - wskazał Diego.

Pod masywny nawis skalny wciśnięta była maleńka, wałcząca się już chatka, niemal niewidoczna za drzewami i wysokimi krzewami. Miała płaski dach z zardzewiałej blachy i ściany z nie ociosanych desek. Drzwi oderwały się, gdy Diego je otworzył, i runęły na ziemię w tumanie kurzu. Chata i ziemia wokół były suche, nawis skalny osłaniał je od deszczu.

Wnętrze stanowiła jedna izba, z klepiskiem w miejsce podłogi. Nagie listwy zespały deski ścian, a blaszany dach spoczywał bezpośrednio na nie osłoniętych, wąskich belkach. Nie było tam sprzętów, poza zardzewiałym starym piecem, który kiedyś ogrzewał chatę.

- Wspaniałe miejsce na ukrywanie się przez parę lat. Nie wytrzymałbym tu nawet dwóch dni! - wykrzyknął Pete.

- Zmieniłbyś zdanie, gdyby cię ścigali żołnierze i gdybyś miał cenny miecz, który chciano by ci ukraść - powiedział Jupiter. - Ale przyznaję, że dość tu goło.

- Zbyt goło - zauważył Bob. - Żadnych wnęk, szafek, zakątków czy szczelin. Tutaj nic nie można schować.

Diego popatrzył na gołe, nie wykończone ściany i sufit.

- Rany, Bob ma rację. Nie można.

- A podłoga? - podsunął Pete. - Don Sebastian mógł tu zakopać miecz i nie oznaczyć miejsca.

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie, gdyby zakopał, świeża ziemia byłaby przez dłuższy czas widoczna. Nie sądzę, żeby to ryzykował. Jednakże...

Korpulentny Pierwszy Detektyw wpatrywał się z namysłem w zardzewiały piec. Górą wychodziła z niego rura i przebijała się przez dach na werandę, nóżki stały na kamiennej płycie.

- Ciekaw jestem, czy ten piec da się łatwo przesunąć.

- Spróbujmy - powiedział Bob.

Wysoki Drugi Detektyw pchnął piec, który mimo że masywny i ciężki, przesunął się.

Nóżki nie były przymocowane do kamiennej płyty. Krótki kołnierz łączył rurę z piecem.

- Przesuń w górę ten kawałek - powiedział Jupiter, a Pete natychmiast wykonał polecenie.

- Rany, zardzewiało na amen.

- W 1846 roku nie było zardzewiała. Odłam to, jeśli nie możesz inaczej. Za pomocą narzędzi wyjętych z torby rowerowej Boba, Pete złamał zardzewiałą rurę tuż nad piecem. Następnie wszyscy czterej zsunęli piec z płyty. Pete ukląkł i starał się ruszyć płaski kamień.

- Uff - stęknął. - To za ciężkie.

- Spróbuj tutaj - Diego podszedł do ściany. - Ta gruba listwa wygląda na obluzowaną.

Jupiter pomógł Diegowi oderwać listwę od ściany, podczas gdy Bob i Pete przetoczyli piec bliżej płyty. Pete wykopał ziemię przy płycie na jej grubość, po czym zrobił dziurę dość dużą, żeby wsunąć listwę pod płytę. Wykorzystując piec jako punkt oparcia dźwigni, wsparli na nim listwę w połowie jej długości i uwiesili się w czwórce na jej drugim końcu.

Płaski kamień uniósł się, a potem opadł, odsłaniając małą głęboką dziurę! Diego pochylił się nad nią.

- Coś tu widzę! - wykrzyknął, nim Bob zdążył zapalić latarkę.

Sięgnął, jak mógł najgłębiej, i wyciągnął krótki kawałek postrzępionej liny, gruby arkusz papieru, zbrązowiałego ze starości, i długi rulon płótna pokrytego smołą. Diego obejrzał pożółkły papier.

- To po hiszpańsku... Chłopcy! To jest odezwa armii Stanów Zjednoczonych z 9 września 1846 roku. Coś o prawach ludności cywilnej.

- To smołowane płótno jest akurat dość duże, żeby owinąć w nie miecz - powiedział Jupiter, Drżącymi rękami zaczął rozwijać rulon.

- Pusty! - jęknął Pete, gdy rulon rozwinął się zupełnie.

- Diego, czy jest tam coś jeszcze?! - zawołał Jupiter.

Bob stanął z latarką nad dziurą, a Diego zaglądał do środka i obmacywał dziurę ręką.

- Nic, nie ma nic... Chociaż czekaj! Mam coś! Ale to... to tylko mały kamyk.

Długo wysunął rękę z dziury zawiedziony i otworzył dłoń. Leżał na niej mały kamień, utyłany w ziemi. Wytarł go w swoją koszulę. Teraz mały, niemal kwadratowy kamyk nabral koloru głębokiej, skrzęcej zieleni!

- Czy to...? - zaczął Bob.

- Szmaragd! - wykrzyknął Jupiter. - W tej dziurze musiał być miecz Cortesa! To tu na początku ukrył go don Sebastian. Kiedy umknął sierżantowi Brewsterowi, wziął go stąd i schował gdzie indziej. Może ktoś się wygadał, że miecz jest tutaj, a może nie uznał chaty za

dostatecznie bezpieczną kryjówkę.

- Miał rację. Znaleźliśmy ją dość szybko - powiedział Bob.

- Nie próbowaliśmy więc ukrywać się tu samemu - zauważył Diego. - To nie może być właściwe miejsce.

- Nie - zgodził się Jupiter. - Ale szmaragd jest dowodem, że się do niego zbliżamy. Jedno kłamstwo więcej w raporcie sierżanta Brewstera. Miecz był tutaj, póki don Sebastian nie przyszedł po niego tej nocy i nie ukrył go gdzieś indziej. Ukrył miecz i ukrył się sam, i wszystko to musiał zrobić szybko.

- Jupe? - przerwał mu nagle Pete. - Co to za odgłosy?

Nasłuchiwali. Z zewnątrz dochodził głośny szum, podobny do zsuwania się lawiny.

- Deszcz! - powiedział Bob. - Pada wszędzie z wyjątkiem tego miejsca pod nawisem skalnym. Ho, ho! To istny potop!

- Nie, słyszę jakiś inny odgłos. A wy słyszycie? - spytał Pete.

Jupiter potrząsnął głową, a Bob wzruszył ramionami. Ale Diego coś usłyszał.

- Głosy! - szepnął. - Ktoś jest tam na dworze.

Wyśliznęli się z chaty i przykucnęli za rosnącymi przed nią gęstymi krzewami. Trzej kowboje-włóczędzy brnęli w ulewnym deszczu przez mały kanion. Przez szum deszczu niosły się ich głosy:

- ...działem, jak szli tędy, Cap,... rech.

- ...ajmy się... szlaku.

Mężczyźni przeszli koło chaty, nie zauważywszy jej pod nawisem i znikli za następnym wzgórzem. Jupiter wstał.

- Nie wrócą przez jakiś czas. Pójdziemy z powrotem do Zamku Kondora, nim nas zobaczą. Chodźcie.

Lecz tym razem Jupiter się mylił! Chłopcy byli jeszcze w otwartym kanionie, gdy za nimi rozległy się krzyki:

- Hej tam wy czterej!

Nikt nie musiał rzucać komendy "biegiem"!

Rozdział 16

Wszystko płynie!

Chłopcy wypadli z wąskiego, zarośniętego szlaku na błotnistą drogę. Bez tchu rozglądali się to w prawo, to w lewo, nie wiedząc, dokąd uciekać.

- Jeśli pobiegniemy drogą w dół, ci kowboje dopadną nas, nim dotrzemy do lokalnej szosy! - powiedział Pete.

- A jak zaczniemy się wspinać na wzgórze, to nas zobaczą! - krzyknął Bob.

- W górę drogi i przez tamę też nie możemy iść - dodał Diego. - Jest cała zalana, zmyje nas z niej.

Sparaliżowani, niezdecydowani chłopcy stali w strumieniach deszczu na drodze.

Za nimi trzej kowboje przedzierali się przez gęste zarośla, klnąc i złorzecząc, gdyż w pościgu za chłopcami wpadali na siebie nawzajem. Było słychać wściekły głos czarnowłosego Capa, gdy poganiał pozostałych.

- Szybko! - krzyknął Pete. - Spróbujmy uciekać drogą!

- Nie, pobiegniemy w dół do strumienia - zakomenderował Jupiter - aż do jego końca przed tamą! Będą pewni, że w tamtą stronę nie uciekliśmy, więc to jedyny wybór.

Nie tracąc więcej czasu, chłopcy zagłębili się w koryto strumienia. Czepiali się skarpy głębokiego koryta, starając się utrzymać nad poziomem wody, która je niemal wypełniła. Pod osłoną stromych ścian koryta i gęstych zarośli, podjęli uciążliwą drogę w stronę tamy.

Powyżej, na drodze ciężkie buty chlapały w błocie. Chłopcy z bijącymi sercami przyłgnęli płasko do skarpy. Trwali cicho i bez ruchu pod osłoną krzaków. Niemal wprost nad nimi rozbrzmiewały trzy ochryple, rozeźlone głosy:

- Gdzież, u diabła, polecieci!

- Wścibskie łobuzy!

- Myślisz, że mają kluczyki?

- Pewnie! Uciekli, no nie? I nie znaleźlim kluczy w stajni!

- Cap, może poszli na te tamę?

- Nie rób się głupszy, niżes jest, Tulsa. Nawet dzieciaki są za mondre, żeby tera iść przez te tamę!

- Nie są na tem wzgórzu, to musieli się zabrać tą drogą. Chodźcie!

Tupot i chlupotanie zaczęły się oddalać w stronę hacjendy i lokalnej fosy. W strumieniach deszczu chłopcy mokli, bezgłośnie czekając.

- Poszli sobie - odezwał się w końcu Bob z ulgą.

- My też lepiej chodźmy - powiedział Diego. - Tu nie możemy się dłużej ukrywać.

- Tylko że dokąd mamy iść? - zapytał Pete. - Odcięli nas od drogi, po tamie nie możemy przejść, a tutaj wrócą prędzej czy później.

- Może bliżej tamy jest jakieś miejsce, gdzie da się ukryć, do czasu, kiedy będzie pewne, że poszli na dobre - powiedział Jupiter. - A jeśli nie ma, przejdziemy to niskie wzniesienie i pod jego osłoną dostaniemy się na drugą stronę wzgórza. Potem możemy się ukryć za Zamkiem Kondora. W tym strumieniu nie jesteśmy bezpieczni. Wystarczy, żeby wyrzeli znad skarpy, i już nas mają.

Trzymając się blisko stromego brzegu, przedostali się na koniec strumienia. Stąd słyszeli już łoskot wody, przewalającej się przez tamę po drugiej stronie wzniesienia, które dzieliło strumień od rzeki.

- Szukajcie jakiegoś wgłębienia za skałą albo dziury w skarpie, albo jakiegoś nawisu - powiedział Jupiter.

Uczepieni skarpy, przeszukiwali wzrokiem nasyp na końcu strumienia.

- Rany, Juve, nie ma bezpiecznej kryjówki w tym strumieniu, chyba że pod wodą! - krzyknął Pete. - Nie widzę nawet nory susła!

- Może po drugiej stronie drogi są jakieś skały, za którymi moglibyśmy się ukryć. - Diego wysunął głowę nad skarpe i szybko osunął się z powrotem. - Chłopaki. Widziałem ich! Na drodze! Wracają tu!

Chłopcy przyłgnęli do spadzistego brzegu i rozmawiali ochryplym szeptem.

- Widzieli nas? - spytał Bob.

- Nie sędzę - odparł Diego.

- W którym miejscu drogi byli? - zapytał Jupiter.

- Koło miejsca, w którym odbija szlak. Tam, gdzie zesliśmy do strumienia.

- Może pójda z powrotem do chaty? - powiedział Pete z nadzieją.

- Nie, pójda sprawdzić przy tamie - szepnął Jupiter ponuro. - Utknęliśmy tutaj. Miejmy tylko nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy zajrzeć do strumienia.

Zastygli pełni napięcia, gdy poprzez łoskot wody na tamie dobiegł ich odgłos zbliżających się kroków. W końcu usłyszeli też głosy:

- ... jak nie zobaczymy ich przy tamie, mówię wam, trza tu przyjść na powrót i przetrzepać krzaki w tym rowie!

- No, to koniec - szepnął Juve. - Musimy się stąd zabierać. Słuchajcie, jak tylko ci faceci nas miną i znajdą się za wzniesieniem, przeczołgamy się jak najszybciej przez

wzniesienie na drugą stronę. Potem wdrapiemy się na wzgórze nad rzeką i schowamy za Zamkiem Kondora.

- Ale, Jupe, na szczycie wzniesienia będziemy w pełni widoczni! - zaproponował Pete.

- Wiem, ale tylko przez chwilę. Jak nam dopisze szczęście, nie obejrzą się, nim nie dojdą do tamy. Do tego czasu będziemy bezpieczni za skałami na wzgórzu.

Pete wciąż kręcił głową, ale nie było czasu na wymyślenie lepszego planu. Trzej kowboje mijali ich teraz, idąc drogą. Rozmawiali głośno i kłóliwie. Jupiter zerknął ostrożnie nad krawędzią skarpy. Kiedy zniknęli za wzniesieniem, zawołał:

- Teraz!

Wyczołgali się ze strumienia i na czworakach wspięli na wzniesienie. Zapadali się w rozmokłą ziemię, a zarośla osuwały się wraz z korzeniami spod ich stóp. Mieli uczucie, że wszystkie oczy świata skupione są na ich plecach. Ale gdy przebiegali przez szczyt wzniesienia i ześlizgiwali się w dół po drugiej stronie, do wezbranej rzeki, nie rozległy się za nimi żadne krzyki.

- Udało się! - Pete nie posiadał się z radości.

- Dalej! Na wzgórze! - naglił Jupiter. - Pochylcie się możliwie najniżej.

Zgięci we dwoje, biegli niczym raki wzdłuż rozmiękłego wzniesienia. Jupiter i Bob dwukrotnie pośliznęli się i rozłożyli jak dłudzy, a Diego omal nie obsunął się do wezbranej rzeki. Oblepiani błotem, biegli dalej niezdarnie, a Pete pewnie trzymający się na nogach pomagał kolegom. Wreszcie osiągnęli strome, bardziej skaliste zbocze wzgórza.

Wdrapywali się ku skale Zamku Kondora, spychając z rozmokłego zbocza kaskady kamieni.

Spoza nich, poprzez ryk rzeki dobiegły krzyki:

- Cap, tam!

- Na wzgórzu!

- To oni! Bierzmy ich!

Chłopcy zamarli na stromym zboczu i obejrzel się. Trzej groźni kowboje zeszli z drogi i stali przy tamie.

- Zobaczyli nas! - krzyknął z rozpaczą Diego.

- Za wcześnie! - jęczał Pete.

Trzej kowboje biegli przez niskie wzniesienie, przecinając je od narożnika tamy, wprost do wzgórza.

- Co robić, Jupe?! Przygwoźdź nas tu! - krzyknął Bob.

- Ja... ja... - zająknął się Jupiter.

Wśród szumu deszczu i równomiernego odgłosu płynącej bystro rzeki, rozległ się dziwny hałas - ryk, który zdawał się narastać z każdą sekundą. Dochodził sponad wezbranego górnego biegu rzeki, powyżej tamy i nadciągał coraz bliżej i bliżej. Trzej kowboje zatrzymali się połowie drogi między tamą a wzgórzem i nasłuchiwali.

- Patrzcie! - krzyknął Pete.

Nad tamą wznosiła się trzymetrowa ściana wody!

- Coś się oberwało w górnym biegu rzeki! - zawołał Diego.

Potężna fala, niosąc ze sobą krzewy, kłody, kamienie, całe drzewa wyrwane z korzeniami, przewaliła się nad tamą i runęła w dół, w kotłujący ale już i tak nurt dolnego biegu rzeki. Całe skaliste wzgórze, na którym stali chłopcy, zadrżało. Na przeciwległym brzegu osuwająca się ziemia wpadała do wody wraz z krzakami i drzewami.

- Chłopaki! Znowu ruszyli! - wrzasnął Diego.

Trzej kowboje biegli w ich stronę przez wzniesienie. Chłopcy rzucili się do ucieczki, lecz zatrzymali się po chwili. Wzniesienie pod nimi zdawało się rozpadać! Olbrzymia masa rozmokłej ziemi obsuwała się do spienionej rzeki, zabierając ze sobą trzech kowbojów! Bijąc dziko rękami, wpół płynąc, wpół czepiając się niesionych prądem drzew, kowboje spływali w dół w szalejącym nurcie.

- Zmyło ich! - tryumfował Bob.

- Nie na długo - ostudził go Jupiter. - Gdzieś niżej wygrzebią się z rzeki i znajdą się między nami a lokalną szosą. Ruszamy dalej!

Pete poszedł przodem w górę stoku, ku wielkiej skale Zamku Kondora. Wspięli się na nią i jęli schodzić w dół po drugiej stronie. Poniżej Zamku Kondora, po obu stronach grani wzgórza, osuwała się błotnista ziemia i kamienie, odsłaniając kolejne kamienie i skaliste podłoże.

- Rany, wszędzie się ziemia obsuwa! - wykrzykiwał Pete, wiodąc ich w dół stromeego, oślizgłego zbocza. Zręcznie przeskoczył rząd okrągłych głazów, które odsłoniła osuwająca się ziemia. Pozostali wspięli się za nim i - stanęli z otwartymi ustami.

Pete przepadł!

Rozdział 17

Gniazdo orła

Pete znikł, jakby go wzgórze połknęło!

- Ccc... ccc... coo? - jęknął Diego. - Dokąd on poszedł?

- Pete! - krzyknął Bob.

- Gdzie jesteś?! - wtórował mu gorączkowo Jupiter.

Rozglądali się z niepokojem po zboczu, ale nadaremnie. Zaczęli nasłuchiwać i wreszcie usłyszeli głos Pete'a. Zdawał się dochodzić znikąd!

- Chłopaki! Tu, na dole!

Stłumiony głos Pete'a wydobywał się jakby z głębi samego wzgórza.

- Gdzie jesteś, Pete? - zawołał Diego.

- Tu, w dole! Spójrzcie na miejsce tuż przed tymi wielkimi głazami!

Chłopcy podbiegli na wskazane przez Pete'a miejsce i zobaczyli podłużną, wąską jamę w zboczu. Była zupełnie niewidoczna, dopóki nad nią nie stanęli. Przedtem jej nie było!

- Musiała ją odsłonić obsuwająca się ziemia! - wykrzyknął Bob.

Jupiter pochylił się nad długim, wąskim pęknięciem w zboczu.

- Pete? Czy pomóc ci wyjść?

- Nie chcę wyjść! To coś w rodzaju jaskini, Jupe! Wszędzie pełno kamieni. Możemy zatkać nimi dziurę i ci kowboje nigdy nas nie znajdą! Chodźcie tu na dół.

Trzej chłopcy stojący na stoku wymienili spojrzenia.

- No więc... - Jupiter zawahał się.

- Chodźcie! - naglił Pete. - Tu jest sucho i przestronnie, a ci faceci mogą w każdej chwili nadejść!

Ten argument wystarczył. Bob pierwszy wsunął się w wąską szparę. Jupiter za nim, sapiąc z wysiłku. Tęgi chłopiec utknął w połowie otworu.

- Ja... ja się nie zmieszczę - wyjąkał zarumieniony.

Bob zawołał z dołu:

- Diego, pchaj go! My będziemy ciągnąć!

Uchwycili go za nogi. W górze, na stoku, Diego złapał pulchnego przywódcę za ramiona i pchał. Z głośnym odgłosem, niczym korek wyciągnięty z butelki, Jupiter ześliznął się w dół i znikł. Diego skoczył za nim. Na dole Bob zapalił już latarkę.

- Rany! - zawołał Diego, rozglądając się. - Nigdy bym się nie domyślił, że tu jest

jaskinia!

W świetle latarki ukazała się mała, mniej więcej wielkości pojedynczego garażu, skalna grotta, o niskim sklepieniu, z rozrzuconymi wokół okrągłymi głazami. Grotta była wciąż sucha, mimo że ulewny deszcz zaczął się teraz przedostawać przez dziurę w zboczu. Najwidoczniej szczelina powstała niedawno.

- Poświeć dokoła, Bob - poprosił Jupiter.

Mała, niska jaskinia ciągnęła się w głąb na jakieś trzy do trzech i pół metra; zamykała ją sięgająca po sklepienie sterta kamieni. Jupiter dokładnie obejrzał odsłonięte wejście i pokiwał głową.

- Wygląda, jakby kiedyś w przeszłości zostało to miejsce zamknięte. Prawdopodobnie wskutek trzęsienia ziemi. Kamienie stoczyły się...

- Mniejsza z tym, jak zostało zamknięte - zdenerwował się Pete. - Obsunięcie się ziemi odsłoniło je i ci kowboje mogą na nie trafić akurat tak samo, jak my! Trzeba je zablokować!

- Pełno tu okrągłych kamieni - powiedział Diego.

Wszyscy czterej toczyli i dźwigali największe kamienie, jakie zdołali ruszyć, i w końcu szare światło późnego popołudnia zostało odcięte. Deszcz przestał wpadać do środka. Chłopcy usiedli i uśmiechnęli się do siebie.

- Przeczekamy parę godzin, a przez ten czas ci kowboje zniechęcą się i sobie pójdą - zdecydował Jupiter.

- Wciąż się zastanawiam, kim oni mogą być - zamyślił się Bob.

- Muszą mieć coś wspólnego z panem Norrisem - powiedział Diego ponuro. - W przeciwnym razie, po co by ukradli kapelusz i podrzucili go koło ogniska?

- Jeśli to oni zrobili - zauważył Jupiter. - Wiemy tylko, że długo szukali kluczyków samochodowych, które Bob i Pete znaleźli w stajni. Ciekaw jestem, dlaczego nie widzieliśmy, żeby jeździli samochodem.

- No, z pewnością zależy im na tych kluczykach, a więc klucze mogą być dowodem na coś złego - powiedział Pete.

- Tak - przyznał Jupiter. - Może to oni...

- Ju... Ju... Jupe! - To Bob zaczął się jękać. Trzymał latarkę skierowaną na stertę kamieni na końcu jaskini. - Ten... ten... kamień... ma... ma...

- Oczy! - Diego przełknął głośno ślinę. - Oczy i... zęby!

- Czaszka - jęknął Pete.

Jupiter przypatrywał się stercie. Zamrugnął powiekami i nagle oczy mu zabłyśły.

Przeszli spiesznie na koniec jaskini.

- To czaszka! - zawołał. - Chłopaki, bierzemy się do kopania!

- Tu są jeszcze kości - powiedział Pete ze smutkiem. - Musiało kogoś zagrzebać w czasie trzęsienia ziemi.

- Tu jest jakaś szmata pod kamieniem! - krzyknął Bob.

- Guzik! - Diego podniósł poczerniały mosiężny krążek. - To jest guzik z amerykańskiego munduru!

- Tego człowieka tu nie zagrzebało. W każdym razie nie żywego - powiedział Jupiter.

- W tej czaszce jest dziura. Facet został zastrzelony!

Pierwszy Detektyw spojrzał podekscytowany na przyjaciół.

- Myślę, że znaleźliśmy gniazdo orła! Miejsce, gdzie don Sebastian chciał ukryć siebie i miecz. Jaskinia wprost pod Zamkiem Kondora, to pasuje do wszystkich poszlak. I wiedziałby o niej Jose!

- Myślisz, że ten żołnierz był jednym z tych trzech ścigających mego prapradziadka? - zapytał Diego.

- Tak właśnie myślę - odparł Jupiter. - Myślę także, że ta jaskinia musi być większa.

Pete sprawdzał kamienie na stosie.

- Leżą luźno - powiedział. - Możliwe, że odcięło część jaskini w tym samym czasie, kiedy zostało zablokowane wejście do niej.

Jupiter skinął głową.

Pete jęknął:

- Dobra, bierzemy się do roboty!

Zabrali się ochoczo do pracy. Wyciągali kamienie ze sterty i odrzucali je na bok. Była to praca długotrwała i powolna. Co wyciągnęli trochę kamieni, następne osuwały się na ich miejsce. Powoli jednak robili postępy. Ściana kamieni była coraz cieńsza, aż wreszcie...

- Widzę prześwit! - wykrzyknął Bob. Skierował w to miejsce światło latarki. - Tak! Za stertą jest jakby korytarz!

Odwalili więcej kamieni i odsłonili pasaż, szeroki na tyle, żeby zmieścił się w nim Jupiter. Pierwszy wczuł się do niego Bob z latarką i po paru minutach znalazł się w grocie około trzykrotnie większej niż poprzednia.

- To duża jaskinia! - wykrzyknął Diego, gdy wyczołgał się z pasażu i wstał.

Grota była prawie dwukrotnie wyższa od zewnętrznej komory. Miała pionowe, gładkie ściany z jednolitego kamienia i takie samo kamienne podłoże, z którego sterczało kilka głazów.

- Jesteśmy teraz dokładnie pod Zamkiem Kondora - powiedział Bob.

- Co za miejsce na kryjówkę! - wykrzyknął Pete. - Wejście można zablokować, a dochodzi się tu naprawdę łatwo.

- Mając na zewnątrz kogoś, kto doniesie jedzenie i wodę, można tu siedzieć bezpiecznie przez długi czas - dodał Diego.

- Jeśli dotrze się tu niepostrzeżenie i ma się dość czasu na zablokowanie wejścia - powiedział Jupiter. - Nie myślę, żeby to się udało don Sebastianowi.

Wskazał coś na lewo od pasażu. Bob skierował tam latarkę. Był to drugi szkielet! Leżał na plecach, za jednym z wystających z podłóża głazów. Wokół rozsypane były poczerniałe mosiężne guziki, a przy szkielecie leżała stara, zardzewiała strzelba.

- Musiał szukać osłony za tym głazem - powiedział Pete. - Jak się domyślam, to jest drugi żołnierz.

- A tu jest trzeci! - wykrzyknął Jupiter.

Bob oświetlił trzeci szkielet, leżący twarzą w dół, na środku jaskini. Koło niego zobaczyli takie same mosiężne guziki, a także zbutwiałe resztki skórzanych butów i pasa z olstrem. Pistolet z czasów wojny amerykańsko-meksykańskiej leżało centymetry od palców prawej ręki szkieletu.

- To mógłby być sierżant Brewster. Pistolet i dobre buty - Jupiter potrząsnął głową ponuro. - Nic dziwnego, że trzej żołnierze nigdy nie wrócili.

- Daleko nie zdezerterowali - zauważył Pete.

- Trzej chciwi żołnierze w pogoni za łatwą fortuną - powiedział Bob.

- Ale gdzie jest mój prapradziadek? - zapytał Diego.

Bob zatoczył wokół światłem latarki. Z miejsca, w którym stali, nie dostrzegli niczego więcej. Nie wyglądało na to, by proste ściany zawierały jakieś kryjówki.

- Ktoś tych trzech zastrzelił - odezwał się Pete. - Jeśli nie don Sebastian, to kto? Albo don Sebastian stąd po prostu wyszedł.

- To możliwe - powiedział Jupiter z namysłem. - Ale jeśli załatwił wszystkich trzech, czemu ich nie zakopał i nie został tu, w ukryciu?

- Może to nie on ich zastrzelił - rozważał Pete. - No bo trzech przeciw jednemu... i to byli wyszkoleni żołnierze. Może byli tu jeszcze inni i don Sebastian nie chciał...

- To był don Sebastian - przerwał mu Bob. - Patrzcie tam! Na sam koniec jaskini! Tam jest następny pasaż i coś w nim jest!

Gdy chłopcy zbliżyli się do wskazanego miejsca, okazało się, że nie był to pasaż, a tylko niski zaułek, kończący się ślepo, trochę ponad metr dalej. W tej wnęce, niewidocznej na

pierwsze wejrzenie, znaleźli czwarty szkielet, oparty o jeden z kilku leżących tam okrągłych kamieni. Resztki ubrania tym razem były odmienne. Koło szkieletu leżały srebrne, indiańskiego wzoru muszelki, a tuż przy nim dwie stare, zardzewiałe strzelby. Diego podniósł jedną z muszelek.

- To miejscowej roboty - powiedział ze smutkiem. - Myślę, że wiemy teraz, dlaczego nie widziano więcej mego prapradziadka.

Jupiter pokiwał głową.

- A więc mieliśmy rację. Don Sebastian postanowił ukryć się tutaj. Umieścił w liście do Josego Zamek Kondora, żeby mu donieść, gdzie będzie. Uciekł Brewsterowi i jego towarzyszą, wziął miecz z chaty i przyszedł tutaj. Ale żołnierze szli za nim i dopadli go w jaskini. Don Sebastian, znając jaskinię, miał nad nimi przewagę. Ukrył się w tym zaułku i gdy przedostali się przez wąski pasaż, zastrzelił wszystkich trzech, ale sam również został trafiony. W jakiś czas później trzęsienie ziemi zagrzebało jaskinię i nikt się nigdy nie dowiedział, co stało się z czterema mężczyznami.

- Ale, Jupe, dlaczego przyjaciele don Sebastiana nie przyszli tu go szukać? - zapytał Bob. - Przecież wiedzieli, że "orzeł znalazł gniazdo".

Jupiter wzruszył ramionami.

- Nigdy się tego nie dowiemy. Może nie znali dokładnie jego kryjówki i oczekiwali dalszych wieści. Lub może trzęsienie ziemi zasypało jaskinię, nim zdołali się do niej dostać. I najpewniej zostali zabici lub ranni w walce, do której doszło wkrótce. Kiedy Jose po wojnie wrócił do domu, nie było już nikogo, kto by mu powiedział, że raport sierżanta Brewstera był niezgodny z prawdą. Jose mógł nie wierzyć, że miecz wpadł do oceanu wraz z jego ojcem, ale może sądził, że go po prostu skradziono.

- Jupe! - wykrzyknął Pete. - Miecz Cortesa! Powinien tu być, przy szkielecie don Sebastiana!

Szybko zabrali się do przeszukania wnęki, ale czekało ich rozczarowanie.

Miecza nie było!

Rozdział 18

Tajemnicza wiadomość

- Może don Sebastian schował miecz gdzieś w jaskini - powiedział Bob.

- Na wypadek, gdyby coś mu się stało - dodał Diego. - Musiał wiedzieć, że żołnierze podążają tuż za nim. Miecz Cortesa był nie tylko skarbem, ale i symbolem naszej rodziny. Prapradziadek starałby się zabezpieczyć miecz, by ocalał dla Josego.

- Szukajmy dalej! - zawołał Pete.

Mając tylko jedną latarkę, chłopcy nie mogli się rozdzielić, poszukiwania musiały więc być zajęciem długotrwałym. Długotrwałym i bezskutecznym. Jaskinia była duża, ale prawie nie było tu miejsca na schowanie choćby szpilki. Chłopcy znaleźli jeszcze jeden ślepy zaułek i kilka płytkich rys w ścianach, i to wszystko. Nie było dziur w masywnej kamiennej podłodze, żadnych gruzów skalnych, pod którymi można by coś ukryć, i żadnego miejsca, gdzie można by zakopać miecz.

- Nie sądzę, by don Sebastian, mając na karku Brewstera i jego kumpli, znalazł czas na schowanie miecza, nawet gdyby było gdzie - powiedział smutno Jupiter. - Nie, chłopaki, wygląda na to, że nie miał tu miecza ze sobą.

- Więc gdzie miecz jest? - zapytał Pete. - Wróciliśmy do punktu wyjścia!

Bob zgodził się z nim niechętnie.

- Właśnie udowodniliśmy, że wszystkie nasze domysły są słuszne, ale dalej nie mamy pojęcia, gdzie może być miecz.

- Ja... byłem tak pewien, że odpowiedź jest tuż - powiedział Jupiter. - Musieliśmy coś przeoczyć! Myślcie, co...

- Jupiter? - przerwał mu Diego, marszcząc czoło. - Skoro don Sebastian napisał "Zamek Kondora" w swoim liście do Josego, wiedział, że któregoś dnia Jose przyjdzie go tu szukać, prawda?

- Tak, przypuszczam, że zamierzał ukrywać się tu, póki Jose nie wróci.

- Ale go zabito. A teraz, jeśli nie umarł od razu, lecz wiedział, że umiera, musiał się obawiać, że Jose nie znajdzie miecza. Tak więc...

- Tak więc musiał zostawić Josemu wiadomość! - wykrzyknął Jupiter. - Oczywiście! Z pewnością by się starał. Tylko czy po tak długim czasie wiadomość będzie czytelna?

- Zależy gdzie i czym ją napisał - powiedział Pete. - Jeśli rzeczywiście coś napisał. Niczego nie widziałem przy przeszukiwaniu.

- Nie - przyznał Diego. - Ale nie szukaliśmy żadnej takiej wiadomości.

- Swoją drogą, jak by mógł zapisać tę wiadomość? - zapytał Bob. - Nie myślę, żeby uciekając zabrał ze sobą papier i atrament.

- Myślę że nie - zgodził się Diego. - Ale mógł napisać tym, co miał, chłopcy. Krwią!

- Na czym? - zapytał Pete z powątpiewaniem. - Jeśli napisał na swej koszuli czy innej części garderoby, wszystko dawno przepadło.

- Na ścianie? - podsunął Bob, rozglądając się po jaskini.

- Poważnie ranny, umierający... - dumął Jupiter. - Nie mógł się za bardzo poruszać.

Zobaczmy na ścianie w tym kącie!

Schyleni nisko, oglądali skalne ściany niszy, w której zmarł don Sebastian. Jego szkielet zdawał się obserwować ich znad kamienia, o który był oparty.

- Niczego nie widzę - powiedział Pete, który starał się trzymać jak najdalej od szkieletu.

- Czy krew może przetrwać tak długo? - zapytał Bob.

- Nie jestem pewien - wyznał Jupiter. - Może nie.

Za kamieniem, koło szkieletu, Diego znalazł coś, czego przedtem nie zauważyli. Był to obtłuczony gliniany garnek. Wyglądał na indiańską ceramikę.

- Coś jest na dnie. Czarne i twarde.

Jupiter wziął garnek od Diega.

- To indiański garnek. To czarne na dnie wygląda jak wyschnięta farba.

- Czarna farba? - zapytał Bob.

Wszyscy obejrżeli garnek i popatrzyli na siebie.

- Gdyby napisał coś czarną farbą, już by wyblakło, pokryło się kurzem i było prawie niewidoczne - powiedział Pete.

- Wszyscy zabieramy się do ocierania ścian z kurzu - zakomenderował Jupiter, wyciągając chusteczkę. - Ostrożnie, Bob! Nie możemy zetrzeć ani odrobiny farby!

Delikatnie usuwali kurz ze ścian niszy. Pete pierwszy znalazł jakiś znak.

- Bob! Poświeć tu bliżej!

Na ścianie, po lewej stronie szkieletu widniały niewyraźne cztery słowa. Hiszpańskie słowa. Diego przetłumaczył je.

- Popioły... Prochy... Deszcz... Ocean.

Wpatrywali się w nie i łamali sobie głowy, co mogą znaczyć.

- Dwa ostatnie słowa napisano bardzo blisko siebie. A wszystkie litery są chwiejne - skomentował Diego.

- Może schował miecz gdzieś w kominku? - zastanawiał się Pete.

- W pobliżu oceanu - podjął Bob.

- Ale jakby "deszcz" do tego pasował? - spytał Diego.

- Może jest gdzieś zakurzona beczka na deszczówkę, koło paleniska w ogrodzie - Pete zaśmiał się ponuro. - Zrozumcie, chłopaki! To żart! Nic nie znaczy!

- Po co by mój prapradziadek pisał coś, co nic nie znaczy?

- Tego by nie zrobił. Ale... Popioły... Prochy... Deszcz... Ocean? - Jupiter potrząsnął głową. - Muszę przyznać, że nie widzę żadnego sensu.

- Może don Sebastian nie napisał tych słów. Może ktoś inny napisał je później - powiedział Bob.

- Nie wydaje mi się. Jestem przekonany, że don Sebastian chciał zostawić jakąś wiadomość Josemu, a farbę miał pod ręką. Jest mało prawdopodobne, żeby ktoś to napisał po jego śmierci. Gdyby ktoś tu wszedł, znalazłby cztery ciała i zameldował o tym, a my nie znaleźlibyśmy szkieletów. Nie, jestem pewien, że don Sebastian napisał te słowa. Ale...

- Może był w malignie - wtrącił Bob. - Był ciężko ranny, umierający. Mógł nawet nie wiedzieć, co pisze.

Jupiter skinął głową.

- Tak, to możliwe. Ale czuję jakoś, że te słowa razem wzięte jednak coś znaczą. Że mają znaczenie, które by Jose zrozumiał i don Sebastian wiedział o tym. Popioły... Prochy... Deszcz... Ocean...

Zdawało się, że słowa rozbrzmiewały echem w jaskini. Chłopcy powtarzali je sobie w myślach, jakby słysząc je wciąż i wciąż od nowa, mogli odkryć ich sekret. Zagłębieni w myślach, nie od razu zaczęli sobie zdawać sprawę z dziwnych odgłosów, dochodzących z zewnątrz.

- Jupe! - wykrzyknął nagle Diego. - Co to? To stukanie, tam na górze?

Spojrzał na sklepienie jaskini.

- To na zewnątrz - powiedział Bob cicho. - Kroki. Ktoś jest na Zamku Kondora!

- Może to ci trzej kowboje - szepnął Diego.

- Jeśli tak, to nas nie znajdą. Zablokowaliśmy przecież wejście - powiedział Jupiter.

- Nasze ślady! - krzyknął Pete w panice. - Jeśli rozpoznają nasze ślady w błocie, będą wiedzieć, że zesliśmy tutaj. Jak zechcą, mogą wypchnąć te kamienie w dziurze. Potem mogą...

- Chodźmy - zakomenderował Jupiter.

Przeszli spiesznie przez jaskinię do wąskiego pasażu i przeczołgali się z powrotem do

mniejszej grotty. W ciemnościach przykucnęli po obu stronach zablokowanego wejścia i czekali. Wkrótce dosłyszeli niewyraźne głosy.

- Schodzą w dół - syknął Pete.

Głosy z zewnątrz było słycać coraz wyraźniej. Słyszeli już nawet odgłos ślizgania się i obsuwania po stromym stoku wzgórze.

- Stańcie płasko przy ścianie po obu stronach dziury - poleciał Jupiter. - Kiedy wypchną kamienie i wejda, może nie zobaczą nas od razu. Jak nas miną, będziemy mogli wyskoczyć na zewnątrz.

Nad nimi rozległ się teraz ostry stuk obcasów na kamieniach. Głosy dochodziły wprost znad dziury! Trzy świdrujące, kłótlive głosy!

- Co oni mówią? - szepnął Bob. - Nie mogę rozróżnić stów.

- Ja też nie - odszepnął Pete.

Przysłuchiwali się z natężeniem. Głosy dochodziły wyraźnie tuż znad dziury, były jednak dziwnie stłumione.

- Dlaczego nie starają się tu dostać? - dziwił się Diego.

- Musieli widzieć nasze ślady - szepnął Pete. - A może nie, boby weszli wprost przez dziurę.

Z dłużącą się niepewnością chłopcy czekali w ciemnościach jaskini.

- Są tam już dziesięć minut - odezwał się końcu Bob.

Czas jakby się zatrzymał.

- Piętnaście minut - szepnął Bob. - Co oni...

Za cieką barierą kamieni kroki zaczęły się oddalać! Słycać było ślizganie i osuwanie się butów i coraz mniej wyraźne głosy. Trzej mężczyźni odchodzili!

Chłopcy odczekali następne piętnaście minut.

- Nie zobaczyli dziury! - wykrzyknął wreszcie Diego.

- Przeoczyli nas! - zawtórował mu Bob.

- Ale musieli schodzić ze wzgórze naszym tropem. Jak mogli dziury nie zauważyć? Nawet jeśli na dworze jest już ciemno - powiedział Pete.

Jupiter popatrzył na kamienie blokujące wejście.

- Dlaczego nie mogliśmy dosłyszeć stów? Skoro byli tuż nad dziurą, powinniśmy zrozumieć, co mówią.

W ciemnej jaskini zaległa cisza.

- Chłopaki - odezwał się wreszcie Pete - wyciągnijmy jeszcze kilka kamieni.

Bob zapalił latarkę i ustawił ją na okrągłym głazie. Wszyscy czterej wyciągnęli jeden

z kamieni, które wepchnęli uprzednio do dziury. Potem wyciągnęli drugi. Potem trzeci.

Z zewnątrz nie wpadało ani światło, ani powiew świeżego powietrza. Z zapamiętaniem wyciągali wszystkie kamienie z wejścia do jaskini. Do wnętrza nadal nie docierało ani światło, ani wiatr, ani deszcz.

- Gdzie ono jest?! - krzyknął Diego. - Gdzie jest wyjście?

Pete wdrapał się do ciemnego otworu, odsłonił go i obmacał.

- Skała! - dobiegł ich jego stłumiony głos. - To wszystko jest lita skała!

Bob zbladł.

- To znaczy, że zamknęli nas tutaj!

Pete wysunął się z otworu. Jego oczy były rozszerzone przerażeniem.

- Nie, to nie oni. Było następne osunięcie ziemi! Na dziurze leży wielki głaz. Dlatego ci faceci jej nie zobaczyli. Tam nie ma teraz żadnej dziury! I dlatego nie mogliśmy ich wyraźnie słyszeć. Co robić? Jesteśmy uwięzieni!

Rozdział 19

Jupiter doznaje olśnienia

- Czy jesteś pewien? - zapytał Jupiter spokojnie. - Może głaz nie jest tak duży. Sprawdźmy, czy możemy go ruszyć.

Czterem chłopcom udało się wcisnąć w wąski otwór dawnego wejścia. Pete policzył do trzech i wszyscy razem wparli się w głaz, który zablokował dziurę.

- Uff! - stęknął Pete.

- Och! - Diegowi obsunęły się stopy i opadł na podłóżę jaskini.

Bob i Jupiter wpierali się w blok skalny ze wszystkich sił.

Skala nie drgnęła ani o milimetr.

- To beznadziejne - jęknął Bob.

- Z równym powodzeniem moglibyśmy próbować przesunąć całe wzgórze - powiedział Pete.

Wyczołgali się z dziury i w ponurych nastrojach usiedli na ziemi.

- Nie ma powodu do paniki - odezwał się Jupiter spokojnie. - Nie możemy, co prawda, wyjść natychmiast, ale jutro od rana nasze rodziny będą nas szukać i Pico powie im o Zamku Kondora. Nie rozróżnialiśmy słów, ale głosy było słychać dobrze, więc usłyszymy szukających i oni nas.

- Nasi starzy już się chyba przyzwyczaili do nagłych wypadków - powiedział Bob ponuro.

- Chcesz powiedzieć, że zostaniemy tu przez całą noc? - jęknął Pete.

- Musimy - powiedział Jupiter pogodnie. - Ta jaskinia nie jest w końcu taka zła. Miło tu, i sucho, i powietrza pod dostatkiem. Czyste powietrze to pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę, kiedy tu weszliśmy. Skoro wejście zostało dawno temu zagrzebane, muszą być w skałach dziury i szczeliny, przez które dostaje się tu powietrze. Zresztą, może być nawet drugie wejście. Proponuję, żebyśmy się wzięli do szukania.

- Zgadzam się z Jupiterem. I w ruchu będzie nam cieplej - powiedział Diego.

Bob oświetlał latarką całą grootę, a Jupiter, Diego i Pete dokładnie badali ściany i sklepienie. Nie znaleźli jednak drugiego wyjścia.

- Ale ta ściana obok zablokowanego wejścia wygląda, jakby była cała z ziemi, i jest wilgotna. Może będziemy w stanie przekopać się przez nią - powiedział Jupiter.

- Gdybyśmy mieli odpowiednie narzędzia. A nie mamy - zauważył Pete. - Ta ściana

jest zresztą pochyła do wewnątrz i nie wiadomo jak gruba.

Jupiter skinął głową.

- Proponuję więc pójść najpierw do dużej jaskini i sprawdzić, czy tam nie ma jakiegoś wyjścia.

- Przeszukaliśmy ją już wzdłuż i wszerz - oświadczył Bob.

- To prawda, ale można jeszcze raz spróbować. Poza tym i tak chciałem znów się przyjrzeć tym słowom, napisanym przez don Sebastiana - i Jupiter ruszył z powrotem przez wąski pasaż do jaskini ze szkieletami.

Zdawały się spozierać złowieszczo na chłopców i naigrawać się z nich. Bob znowu świecił wokół latarką, a pozostali uważnie oglądali ściany większej jaskini. Był w niej przepływ powietrza, ale nie było wyjścia.

- Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na pomoc albo kopać wyjście w małej jaskini - powiedział Bob.

- Ładny mi wybór! - mruknął Pete. - Nie mam ochoty ani tu zostać, ani dalej kopać.

- Skoro musimy tu zostać całą noc, proponuję skoncentrować się na naszej zagadce - powiedział Jupiter. - Popioły... Prochy... Deszcz... Ocean.

- Dla mnie to wciąż brednie - skwitował Pete.

- Może to być niezrozumiałe, ale nie są to brednie - odparł Jupiter.

- Chodźcie popatrzeć raz jeszcze.

Przykucnęli i wpatrywali się w cztery hiszpańskie słowa. Jupiter analizował je w skupieniu.

- Diego ma rację, że nie są równo rozstawione. "Popioły" stoją oddzielnie i tak samo "Prochy", a "Deszcz" i "Ocean" są blisko siebie. Tu nawet jest jakby znak między nimi, rodzaj kreski, jakby don Sebastian chciał, żeby je czytać razem. Wiadomość może być więc taka: POPIOŁY PROCHY DESZCZ-OCEAN. Co nam to teraz mówi, chłopaki?

- Nic - odpowiedział Pete z miejsca.

- Może to, że zarówno deszcz, jak ocean są wodą - podsunął Diego.

Jupiter skinął głową,

- Tak, to jedno jest pewne.

- A może chodzi o to, że deszcz i ocean są w gruncie rzeczy tym samym - powiedział Bob. - No, bo wiemy, że deszcz faktycznie powstaje z oparów unoszących się znad oceanu. Potem para zmienia się w górze w wodę i spada w formie deszczu, który zasila rzeki i tak dalej.

- Słusznie, deszcz powstaje z oceanu i wraca do oceanu - zgodził się Jupiter. - A jaki

to ma związek z prochem i popiołem?

- Proch może powstać z popiołów, ale chyba nie musi - powiedział Diego.

- Popioły nie powstają z prochów. Nie ma mowy - zauważył Pete.

- Nie - powiedział Jupiter z wolna. - Ale dalej trzeba się nad tym zastanawiać. Musi być jakiś związek, coś wspólnego w tych czterech słowach. Spróbujmy się domyślić, jaką wiadomość miały one przekazać Josemu.

Żaden z chłopców się nie odezwał.

- Dobra - powiedział w końcu zażywny przywódca - próbujcie zgadywać dalej, a tymczasem wrócimy do małej jaskini i zobaczymy, czy nie udałoby się nam przekopać na zewnątrz.

- Do kopania możemy użyć tych starych strzelb - podsunął Pete. . Bob zajrzał do swej torby rowerowej.

- Niewiele z tego się przyda, ale można wygrzebywać ziemię śrubokrętem.

W małej jaskini na powrót zbadali rozmiękłą ziemię po lewej stronie zablokowanego wyjścia. Była wilgotna i kleista.

- Padało przez cały tydzień i ziemia namokła. Musi jej być sporo między nami a zewnętrznym światem. No, to co? - Pete uśmiechnął się. - Sprawdźmy!

Chłopcy zabrali się do kopania, posługując się starymi strzelbami, śrubokrętem i płaskimi kamieniami, które znaleźli. Początkowo gliniasta ziemia była twarda, kleista i zbita. Gdy wkopali się głębiej, stawała się bardziej wodnista. Co wykopali kawałek, ciężka glina osuwała się z powrotem i musieli zdwoić wysiłki, żeby w ogóle robić jakieś postępy. Ciągłe też natykali się na glazy i kamienie, które trzeba było usunąć.

Zlewał ich pot, a twarze i ubrania mieli oblepione ciężką, gliniastą ziemią. W miarę upływu czasu, coraz bardziej doskwierało im zmęczenie i głód. W końcu poczuli się zbyt wyczerpani, by kopać dalej. Zapadli w sen i nie obudzili się aż przed świtem - przed świtem na ich zegarkach.

W jaskini panowała bowiem ciągła noc. Baterie w latarce Boba były na wyczerpaniu i dawały niewiele światła. Wszyscy czterej pracowali jeszcze ciężiej niż przedtem.

Było wpół do ósmej, gdy Pete wykrzyknął:

- Widzę światło!

Z zapamiętaniem i odzyskaną werwą wbijali się w głąb wąskiego otworu, który już wydrążyli, i kopali jak szaleni. Otwór stawał się coraz większy i coraz więcej wpadało upragnionego światła. Wreszcie przekopali się! W radosnym zamieszaniu wyczołgali się jeden za drugim i stanęli na otwartym stoku wzgórza w strugach deszczu.

- Hej! - zawołał Pete. - Słyszycie ten hałas? Potężny ryk wezbranej rzeki zdawał się wstrząsać całą okolicą. Diego wskazał w stronę tamy.

- Połowa tamy się zwała! I...

- Znikło całe wzniesienie! - stwierdził Bob.

- Patrzcie! - krzyknął Jupiter, wskazując strumień.

W dole, pod nimi, strumień, który płynął do oddalonej o milę hacjendy, przestał być strumieniem. Była bystrą, głęboką rzeką. Masa wody, leżąca się przez zburzoną tamę, zmyła wzniesienie, które oddzielało strumień od rzeki. Potoki wody płynęły teraz do morza nie jedną rzeką, lecz dwoma!

- Rany, teraz rzeka płynie wprost przez twoją hacjendę - powiedział Bob do Diega.

W tym momencie, patrzącemu ze stromego stoku wzgórza Jupiterowi zapłonęły oczy.

- Chłopaki! - wykrzyknął w zadziwieniu. - To jest odpowiedź!

Rozdział 20

Miecz Cortesa

- Jaka znów odpowiedź?! - zapytali równocześnie Pete i Bob.

Jupiter zamierzał to wyjaśnić, ale nagle wyciągnął rękę w stronę odległej drogi.

- Jacyś ludzie nadchodzą! Jeśli to ci kowboje...

Pete osłonił oczy ręką. Czterej mężczyźni biegli ku nim wąską ścieżką przez wzgórze, tą samą, którą przed tygodniem chłopcy wracali na hacjendę po ugaszeniu pożaru.

- To mój tato i pan Andrews! Szeryf i komendant Reynolds są z nimi.

Chłopcy puścili się pędem w dół wzgórza, na spotkanie nadchodzącym.

- Pete! - krzyknął pan Crenshaw. - Nic wam się nie stało?!

- Jesteśmy cali i zdrowi, tato! - Pete uśmiechnął się szeroko do ojca.

- Co wyście robili tutaj przez całą noc?! - zapytał gniewnie pan Andrews.

- To nie nasza wina, tato - tłumaczył się Bob i opowiedział, jak zostali uwięzieni w jaskini. - Osunięcie ziemi najpierw ją otworzyło, a potem, kiedy byliśmy wewnątrz, zamknęło na powrót. Ale dowiedzieliśmy się, co się stało z don Sebastianem Alvaro i tymi trzema żołnierzami!

- Wyjaśniliście więc kolejną starą tajemnicę - powiedział komendant Reynolds z uśmiechem.

- A rodzice zamartwiali się na śmierć! - odezwał się szeryf surowo. - Pico Alvaro powiedział nam o szaleńczych staraniach uratowania jego rancza i szukaliśmy was wszyscy przez pół nocy! Twój wuj, Jupiterze Jones, ze swoimi pracownikami, panem Norrisem i jego ludźmi szukają was po drugiej stronie rzeki. Powiedzcie nam lepiej, jak znaleźliście się w tej jaskini!

- Tak, proszę pana - powiedział Pete. - My...

Jupiter wpadł mu w słowa.

- Wy tłumaczmy wszystko w drodze do hacjendy, proszę pana. Nie chcę, żeby mój wujek niepokoił się dłużej. Czy mógłby pan poprosić go przez radio, żeby czekał na nas przy spalonej hacjendzie?

- W porządku, ale lepiej, żeby to, co macie do powiedzenia, miało ręce i nogi. Nie pozwolę, żeby mi się lekkomyślni chłopcy uganiali po moim rejonie.

Szeryf dał znać o spotkaniu przy hacjendzie przez walkie-talkie, a chłopcy opowiedzieli o swej przygodzie w drodze przez wzgórze. Mówili o swych poszukiwaniach

miecza Cortesa i o kłopotach z trzema kowbojami. Opowiadając, minęli drogę, przeszli przez most nad byłym strumieniem i dotarli do hacjendy.

Wujek Tytus z Hansem i jego bratem Konradem byli już na miejscu. Dalej, obok półciężarówki stali pan Norris, Chudy, rządcą Cody i jeszcze dwóch mężczyzn. Pomocnik szeryfa czekał w samochodzie policyjnym.

Wujek Tytus podbiegł do Jupitera.

- Jupe? Nic ci się nie stało? A twoi przyjaciele?

- Wszystko w porządku, wujku.

Podszedł Chudy z panem Norrisem i Codym.

- Mój Boże, do czego może doprowadzić głupota - zadrwił Chudy.

- Dość tego, Skinner - uciął gniewnie pan Norris. - Cieszę się, że się odnaleźliście, chłopcy.

- Powiedźcie mi teraz, dlaczego ci trzej mężczyźni was ścigali? - zapytał szeryf.

- Ponieważ sfabrykowali dowód, że Pico rozniecił pożar! - krzyknął zapalczywie Pete.

- Może nawet spalili hacjendę!

- Alvaro wzniecił pożar - warknął Cody. - On jest zbyt nieodpowiedzialny, żeby mieć tu ranczo.

- Pojutrze już go nie będzie miał - Chudy roześmiał się.

- Powiedziałem, żebyś był cicho, Skinner! Ty, Cody, też! - rozzłościł się pan Norris.

Spojrzał na Jupitera. - Czy możesz udowodnić, Jones, że to nie Alvaro wzniecił pożar?

- Wiem, że tego nie zrobił, proszę pana - odpowiedział Jupiter. - Pico był z nami tego dnia o trzeciej po południu w szkole i miał swój kapelusz na głowie. Skoro szeryf twierdzi, że ognisko rozpalono przed trzecią, Pico nie mógł zgubić kapelusza koło niego.

Tu wtrącił się Bob:

- Proszę pana, Chudy... to jest Skinner i pan Cody też musieli widzieć, że pod szkołą Pico miał jeszcze na głowie kapelusz.

- Ja tego nie pamiętam - powiedział Chudy.

- Bo nie miał kapelusza - poparł go Cody.

- Miał, proszę pana - powiedział Jupiter z naciskiem. - Nosił go także później tego popołudnia, kiedy przyjechaliśmy na hacjendę. Powiesił go na kołku w stajni i kiedy wybuchł pożar poszycia, wybiegł ze stajni zostawiając go tam. Spaliłby się on wraz ze stajnią, ale tak się nie stało. Kiedy wszyscy byliśmy przy pożarze, do stajni przyszli trzej kowboje, ukradli kapelusz i podrzucili go koło ogniska, żeby fałszywie obwinić Pica.

- Nie możesz tego udowodnić - warknął Cody. - Dlaczego ci kowboje mieliby wrabiać

Alvara? Jeśli w ogóle istnieją jacyś kowboje.

Jupe zignorował rządcę.

- Upozorowali winę Pica, ponieważ naprawdę oni sami rozpalili nielegalnie ognisko.

Jestem też prawie pewien, że to oni spalili stajnię i hacjendę.

- Czy możesz to udowodnić, Jupiterze? - zapytał komendant Reynolds.

- Albo powiedzcie, gdzie możemy znaleźć tych kowbojów? - dodał szeryf.

- Myślę, że może ich pan znaleźć na ranchu Norrisów.

Pan Norris uniósł się gniewem.

- Czy chcesz powiedzieć, młody człowieku, że ja mam coś wspólnego z tymi ludźmi i ich poczynaniami?

- Nie, proszę pana, nie sędzę, by pan cokolwiek o tym wiedział. Ale ktoś tu miał i ma z nimi coś wspólnego. Oni nie wybrali się sami do stajni Alwarów, prawda, Chudy?

- Skinner? - pan Norris patrzył bacznie na syna.

- On oszalał, tato! - wrzasnął Chudy.

Jupiter wyjął z kieszeni kluczyki samochodowe.

- Te kluczyki znaleźliśmy w stajni. Ci kowboje szukali ich i dlatego ścigali nas. Chcieli odebrać nam klucze. Zgubiono je, kiedy zabierano kapelusz Pica. Myślę, że stwierdzi pan, że należą do pańskiego wozu terenowego.

- Naszego wozu?! - wykrzyknął pan Norris.

- Jestem tego pewien, proszę pana - powiedział Jupiter. - Sam sprawdzę lub może Skinner pokaże swój komplet kluczyków dla porównania.

- Skinner? - pan Norris znowu wpatrywał się w syna.

- Ja... ja... - zająknął się Chudy i nagle spojrzał wściekle na Cody'ego. - Dałem je Cody'emu. Tato! Powiedział mi, że je zgubił przy pożarze! Nie mówił mi...

- Ty tchórze śmierdzący! - wrzasnął Cody. - Okay, to moje klucze. Upuściłem je w stajni, kiedy brałem stamtąd ten meksykański kapelusz, i Skinner wiedział o tym!

Wszyscy patrzyli na przysadzistego rządcę.

- Ci durni kowboje to moi przyjaciele - mówił ze złością. - Popadli w kłopoty, a ja jestem im winien przysługę, więc przyszli do mnie. Pozwoliłem im biwakować i ukrywać się na ranchu pana Norrisa. Idioci rozpalili ognisko, choć im mówiłem, żeby tego nie robili, i doprowadzili do pożaru poszycia. Wiedziałem, że jak się pan Norris dowie, to mnie wyrzuci. No to poszedłem do Alwarów i zobaczyłem kapelusz Pica w stajni. Zabraliśmy go i podrzucili później koło ogniska. Tylko że upuściłem w stajni te przeklęte klucze!

- Więc dlaczego po nie nie wróciłeś? - zapytał szeryf surowo.

- Spieszyłem się, żeby podrzucić ten kapelusz, i baliśmy się, że nas ktoś zobaczy i... - odpowiedział Cody niepewnie.

- I stajnia stała w ogniu! Mogę się założyć! - wykrzyknął Pete.

- Tak - przyznał Cody zgnębiony. - To nie ja, wie pan? Nie chciałem przysporzyć żadnych strat ani skrzywdzić nikogo. Zależało mi tylko na tym, żeby pan Norris się nie dowiedział, że Cap, Pike i Tulsa koczowali na jego ziemi i wywołali pożar. Ale te głupie włóczykije usłyszeli, że chcemy dostać ranczo Alvarów i myśleli, że mi pomogą, jak podpalał stajnię i hacjendę! Nie wiedziałem, co zamierzają robić, póki nie było za późno. A moje klucze zostały w stajni!

- Ale wiedział pan zapewne, co pan robi, kiedy usiłowałem nam przeszkodzić w udzieleniu pomocy Alvarom - powiedział gniewnie Bob. - Pan i Chudy! Węszyliście, podsłuchiwaliście pod oknem, usiłowaliście nas nastraszyć!

- Wykonywałem tylko moją pracę! - bronił się Cody.

- Pracę! - warknął pan Norris. - Już jej nie masz! Idź i zabieraj swoje rzeczy. Wyrzucam cię, Cody!

- Może pójść po swoje rzeczy, ale z moim zastępcą - powiedział szeryf. - Jest aresztowany za fałszywe oskarżenie Pica Alvara i może także za podpalenie.

Szeryf z zastępcą zabrali Cody'ego do swego samochodu. Pan Norris odesłał Chudego do wozu terenowego i zwrócił się do chłopców.

- Chciałem mieć ranczo Alvarów i będę je miał - powiedział otwarcie. - Nigdy jednak nie chciałem tego osiągnąć nieuczciwą drogą. Przepraszam.

Komendant Reynolds przed odejściem powiedział do chłopców z uśmiechem:

- Oczyszcziliście z zarzutów niewinnego człowieka. Zwolnimy Pica natychmiast. Odwaliliście kawał dobrej roboty!

Kiedy zostali sami, wujek Tytus spojrział na zegarek i wysłał Hansa i Konrada po ciężarówkę.

- Czas, żebyście wszyscy czterej umyli się i coś zjedli. Potem zobaczymy, czy macie dość sił, żeby iść do szkoły.

- Musimy jednak zostać tu jeszcze przez piętnaście minut. Myślę, że tyle wystarczy - powiedział Jupiter.

- Zostać tu jeszcze? Dlaczego? - zdziwił się wujek Tytus.

- Na co wystarczy piętnaście minut? - zapytał Bob.

- Och, na powstrzymanie pana Norrisa od przejęcia rancza Alvarów, oczywiście - odpowiedział Jupiter nieco pompatycznie. - Na znalezienie miecza Cortesa.

- Zapomniałem o tym! - wykrzyknął Diego. - Mówiłeś, że masz odpowiedź.

- Mam. Za mną - rzekł Jupiter.

Ruszył do szosy lokalnej, a chłopcy z wujkiem Tytusem za nim. Deszcz przestał padać i poranne słońce przedzierało się przez chmury. Gdy się zbliżyli do mostu nad strumieniem, Jupiter zatrzymał się.

- Czy pamiętacie zapis w dzienniku amerykańskiego porucznika? Napisał, że zobaczył don Sebastiana z koniem i mieczem w ręku na grani wzgórza, pamiętacie?

- Pewnie - odpowiedział Pete. - Tam było wszystko pokręcone, bo jak się wychodzi z hacjendy, nie ma żadnego wzgórza za rzeką.

- Jest teraz - powiedział Jupiter tryumfalnie. - Było też w 1846 roku. Patrzcie!

Za strumieniem, który był teraz rzeką, widniał wyraźnie posąg człowieka na bezgłowym koniu na grzbiecie wysokiego wzgórza!

- W 1846 roku i wcześniej, rzeka Santa Inez musiała mieć dwie odnogi - mówił Jupiter. - Nie odczytaliśmy tego na starych mapach, bo rzeka i strumień wyglądają na mapie tak samo. Ale w 1846 roku, kiedy porucznik tu przebywał, strumień był również rzeką. Któregoś dnia ziemia osunęła się ze wzgórza w pobliżu tamy i uformowała wzniesienie, które odcięło jedną odnogę rzeki. Może stało się to wskutek tego samego trzęsienia ziemi, które zamknęło jaskinię. Tak czy inaczej, połowa rzeki stała się strumieniem i wyschła. Wszyscy zapomnieli, że była to kiedyś rzeka.

- Więc porucznik miał rację! - wykrzyknął Bob. - Rzeczywiście widział don Sebastiana na wzgórzu za rzeką Santa Inez. Widział go stojącego przy posągu i myślał, że koń jest prawdziwy. Był tu obcy i nic nie wiedział o posągu.

- Tak było, dokładnie.

Jupiter przeszedł przez most i wraz z innymi zaczął się wspinać na strome wzgórze. Pete spojrzał w górę na bezgłowego konia.

- Don Sebastian musiał akurat chować ten pokrowiec, gdy go zobaczył porucznik - powiedział. - Czy myślisz, Jupe, że w tym posągu jest jakaś wskazówka, którą przeoczyliśmy?

- Popioły... Prochy... Deszcz-Ocean - wyrecytował pulchny przywódca zespołu. - Byłem przekonany, że jest to ostatnia wiadomość don Sebastiana, zostawiona synowi, i miałem rację! Myślcie, chłopaki! Deszcz pochodzi z oceanu i na koniec do oceanu wraca. Dokąd wracają popioły? Dokąd wracają prochy? Hiszpańscy Kalifornijczycy byli bardzo religijni. Byli...

- Popioły do popiołów! - wykrzyknął Diego

- I prochy do prochów - zawtórował mu Bob. - Fraza z modlitwy pogrzebowej! Oznacza, że na koniec wszystko wraca tam, skąd przyszło. Skąd wzięło początek.

- Tak! - potwierdził Jupiter. - Śmiertelnie ranny, don Sebastian miał mało czasu. Zostawił Josemu wiadomość, którą ten powinien był zrozumieć od razu. Jose musiałby sobie uświadomić, że ojciec starał się ocalić miecz z rąk Amerykanów, i te cztery słowa powiedziałyby mu, gdzie miecz jest. A więc tam, skąd przyszedł. U samego Cortesa!

Doszli na szczyt wzgórza i stanęli przed bezgłowym koniem z jego brodatym jeźdźcem, spoglądającym dumnie na ziemię Alvarów.

- Myślisz, że miecz jest jednak ukryty w posągu? Tak jak pokrowiec? - zapytał wujek Tytus.

- Ale myśmy przecież obszukali posąg. Tam nie ma gdzie schować miecza! - powiedział Diego.

- Tylko mi nie mów, że go zakopał - jęknął Pete. - Na następne sto lat mam dość kopania.

- Nie - uspokoił go Jupiter. - Myślę, że obejdzie się bez kopania. Pamiętajcie, jak od początku dziwiłiśmy się, że don Sebastian wyjął miecz ze skórzanego pokrowca? Pokrowiec zabezpieczał cenny miecz, a jednak don Sebastian go usunął. A więc teraz wiem dlaczego.

- Dlaczego, Jupe?!.

- Powiedz nam!

- Gdzie jest miecz?

Jupiter uśmiechnął się szeroko.

- Pamiętajcie garnek z czarną farbą w jaskini? Z farbą, którą don Sebastian napisał wiadomość? A więc użył tej farby także w innym celu. Sprawił, że miecz wrócił tam, skąd się wziął. Miecz nie jest ukryty w posągu, jest ukryty na posągu!

Sięgnął do wiszącego u boku drewnianego posągu Cortesa miecza i pociągnął go. Miecz oderwał się i kiedy, osuwając się z rąk Jupe'a, uderzył o bok bezgłowego konia, zadźwięczał! Jupiter wyjął swój scyzoryk i zaczął skrobać czarną powierzchnię pochwy miecza. W tym właśnie momencie słońce przedarło się przez chmury.

Na oskrobanej powierzchni zaśnił srebrzysty metal i długi rząd klejnotów rozjarzył się wieloma barwami.

- Oto miecz Cortesa - powiedział Jupiter, unosząc miecz ku słońcu.

Rozdział 21

Tryumf sprawiedliwości

- Popioły do popiołów i prochy do prochów... - zadumał się Alfred Hitchcock. - Znakomicie sformułowana wskazówka, którą nasz bystry Jupiter znakomicie rozszyfrował.

Jupiter promieniał. Było to w parę dni później i chłopcy siedzieli w olbrzymim salonie znanego reżysera. Przyszli przedstawić swą ostatnią sprawę i poprosić o napisanie wstępu do relacji Boba. Chłopcom towarzyszył uzbrojony strażnik, gdyż mieli ze sobą miecz Cortésa, który chcieli pokazać panu Hitchcockowi. Czarna farba została już usunięta i miecz leżał na stole w całej swej olśniewającej okazałości - złoto, srebro i klejnoty. Jupiter pokazał jeden ze szmaragdów. Był to kamień, który znaleźli w chacie, bezpiecznie teraz umieszczony na swoim miejscu.

- Co za cudo! - pan Hitchcock z podziwem przesunął rękę po sławnym mieczu. - Alvarowie są więc uratowani. Co stało się z facetami, którzy narobili tyle kłopotów?

- Szeryf schwytał tych trzech kowbojów w górach na ranchu Norrisów, tak jak oczekiwałem - odpowiedział Jupiter. - Ukrywali się tam przy pomocy Cody'ego, gdyż byli poszukiwani za rabunek w Teksasie. Przyznali się do podpalenia hacjendy, więc Cody'ego uwolniono z tego zarzutu.

- Czyżby ten łobuz Cody uszedł bezkarnie? - zapytał reżyser.

- Nie, proszę pana - odpowiedział Bob. - Jest oskarżony o szereg różnych przestępstw, jak upozorowanie wina Pica, ukrywanie zbiegów i szczucie nas psami, nie mówiąc o reszcie!

- Świetnie - powiedział pan Hitchcock zadowolony. - Zapewne na dłuższy czas odpadł mu problem szukania pracy.

- Ale Chudy, wie pan, wywinął się naprawdę łatwo - wtrącił Pete. - Rzeczywiście niczego nie popełnił, poza przemilczeniem poczynań Cody'ego i trzech kowbojów. Prawnicy jego ojca zrzucili całą winę na to, że był pod złym wpływem Cody'ego, i uzyskali dla Chudego tylko nadzór sądowy. Pan Norris wysłał go już do szkoły wojskowej do innego stanu!

- Może go to utemperuje. Myślę, że cały problem tkwi w tym, że rodzice zbyt go psuli - powiedział reżyser. - Ale wracając do miecza Cortesa. Co się z nim stanie?

- A więc - Jupiter uśmiechnął się - gdy pan Norris go zobaczył, sam chciał go kupić.

- Oczywiście za niższą cenę niż proponowana przez wszystkich innych - dodał Bob. - Chyba pan Norris nie może się powstrzymać od chciwości.

- Miejscowy bank udzielił Picowi i Diegowi pożyczki na spłacenie długu hipotecznego panu Norrisowi - mówił dalej Jupiter. - Nie muszą więc decydować natychmiast, co zrobić z mieczem.

- Cóż za wspaniałomyślność! - powiedział pan Hitchcock sarkastycznie. - To takie typowe! Bankierzy zachowują się dokładnie tak samo jak mecenas sztuki, dają pieniądze, kiedy już ich nie potrzebujesz.

- Pico i Diego są prawie zdecydowani sprzedać miecz Meksykowi, do Narodowego Muzeum Historycznego - powiedział Pete. - To nie jest najwyższa oferta, ale Pico mówi, że miecz należy do historii Meksyku i rodziny Alvarów.

- Piękna decyzja - zauważył reżyser.

- Rząd Meksyku i tak zapłaci Alvarom więcej, niż potrzebują na spłacenie pożyczki, odbudowanie hacjendy i zakup sprzętu rolniczego. - Jupiter uśmiechnął się i dodał: - Będą nawet mieli dość, żeby kupić ranczo Norrisów!

- Czy chcesz powiedzieć, że ten okropny Norris nie ma już ambicji zostania potentatem ziemskim? - zdziwił się pan Hitchcock.

- Absolutnie nie! - wyrwał się Pete uradowany. - Pico dowiedział się, że za wielkie szkody, wyrządzone mu przez pracownika pana Norrisa, Cody'ego, może podać pana Norrisa do sądu. Kiedy Norris usłyszał o tym, przeszedł samego siebie, oferując Alvarom swoje ziemie za bardzo niską cenę... jeśli nie oddadzą sprawy do sądu.

- Pico i Diego będą mogli nawet odkupić jeszcze inne ziemie, które kiedyś należały do Alvarów - dodał Bob.

Ta wiadomość zachwyciła pana Hitchcocka.

- Nie do wiary! Fortuna doprawdy toczy się kołem. Mimo wszystko, sprawiedliwość czasami tryumfuje. Z największą przyjemnością zaprezentuję waszą sprawę.

Chłopcy podziękowali i wyszli wraz z mieczem i strażnikiem. Pan Hitchcock pomachał im ręką na pożegnanie w progu domu, promieniejąc z zadowolenia. Tym razem sprawiedliwość naprawdę zatryumfowała. Reżyser nie miał wątpliwości, że zatryumfuje również w nowej przygodzie Trzech Detektywów!